Nr 20
24. XI. 1946 r.

TYDZIEŃ

Cena 12 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



Pomnik Sobieskiego w Łazienkach — miejsce zbiórki powstańców w pamiętną noc listopadową.

W NEW-YORKU I W NIEMCZECH

Wieczorem jednego z ostatnich dni konferencji paryskiej na Quai d'Orsay, w siedzibie francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych miało miejsce spotkanie Mołotowa, Byrnesa, Bevina i Bidault. Na spotkaniu tym, mającym raczej towarzyski charakter, ustalono, że rada ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Czwórki zbierze się 4-go listopada w Nowym-Yorku, wykorzystując okazję zgromadzenia Narodów Zjednoczonych.

W wyznaczonym terminie spotkanie doszło do skutku.

Rada ministrów wielkich mocarstw zajmuje się przede wszystkim problemami, które postawiła przed nią konferencja paryska. Jak wiadomo bowiem, konferencja dwudziestu jeden mocarstw, która przez dwa niemal miesiące obradowała w Pałacu Luksemburskim, nie opracowała ostatecznych tekstów traktatów pokojowych z byłymi satelitami Osi tj. z Włochami, Bułgarią, Węgrami, Rumunią i Finlandią. Konferencja ta opracowała tylko projekty i zalecenia dla Wielkiej Czwórki. Jej zaś zadaniem będzie ustalenie tekstów ostatecznych.

W ten sposób rada ministrów spraw zagranicznych Związku Radzieckiego, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Francji ma do rozstrzygnięcia szereg ważnych problemów. Na pierwszym planie stoi tu sprawa Triestu i granicy włosko - jugosłowiańskiej. To rozwiązanie, które przeprowadziła większość konferencji paryskiej, spotkało się ze zdecydowanym sprzeciwem Jugosławii. Jej delegacja nawet na znak protestu nie wzięła udziału w uroczystym posiedzeniu zamykającym konferencję.

W dalszej kolejności rada ministrów będzie miała za zadanie rozpatrzyć kwestję żeglugi po Dunaju i granice Bułgarii, aby wreszcie nadać ostateczny kształt pięciu traktatom pokojowym.

Jasnym jest jednak, tak samo jak jasnym było na konferencji w Paryżu, że jak wielkie nie byłoby znaczenie właściwego załatwienia spraw z byłymi państwami sojuszniczymi Hitlera — to punktem centralnym zagadnień międzynarodowych jest sprawa Niemiec. Ma ona również w kolejności stać się przedmiotem debat w Nowym-Yorku.

Zainteresowania Polski na konferencji paryskiej były raczej pośrednie, ograniczały się bowiem przede wszystkim do naszych pretensji z tytułu odszkodowań za straty poczynione na ziemiach Polski przez sojuszników Niemiec. Nasze zainteresowania natomiast w stosunku do samych Niemiec są jak najbardziej bezpośrednie. Te zainteresowania dotyczą nie tylko kwestii granic. Dla naszej przyszłości równie ważna jest kwestia wewnętrznej organizacji państwa niemieckiego, jego potencjału gospodarczego i jego oblicza politycznego. A te sprawy budzą niepokój Polski, czyniąc naszą politykę zagraniczną niezwykle czujną.

Z jednej strony obserwujemy pilnie i reagujemy energicznie na wszelkie zagraniczne wystąpienia opiekunów „biednych" Niemców, pragnących zużyć pokonane Niemcy za narzędzie swojej polityki, podniecającej ich tendencje odwetowe, kierujące się przede wszystkim ku naszej zachodniej. granicy.

Z drugiej strony obserwujemy pilnie i nastroje wśród samych Niemców. Wyrazem tej naszej czujności jest nota Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie skierowana do Sojuszniczej Rady Kontroli, którą ogłoszono w ostatnich dniach. Nota ta wymienia szereg przypadków wystąpień prasy niemieckiej, domagającej się powrotu do Rzeszy Śląska, Prus Wschodnich i Poznańskiego. Jak widzimy, teoria odwetu już dziś wyraża dążenie nie tylko do restytuowania granicy polsko-niemieckiej z 1939 roku. Już dziś pragnie ona uzasadnić słuszność teorii Rosenberga zawarcia Polski w granicach czegoś w rodzaju Generalnej Gubernii. Jest to oczywiście teoria, ale przy okazji — jak tego dowodzi nota polska przy pomocy odpowiednich cytat — mówi już o organizowaniu siły, którąby te teorie miała realizować.

Nie po raz pierwszy zwracamy uwagę sojuszniczym organom kontroli Niemiec na te wystąpienia prasy niemieckiej, mające miejsce przeważnie w strefie okupacji brytyjskiej. Noty nasze nie są rzucane w próżnię. Ostatnio, na przykład, Polska Misja Wojskowa otrzymała od odpowiedniego wydziału Rady Kontroli odpowiedź na jedną ze swych poprzednich interwencji. Dotyczyła ona wystąpień rewizjonistycznych, godzących w nasze zachodnie granice, niejakiego Neumana, który również w strefie brytyjskiej występuje z energiczną w tej sprawie agitacją. Organy międzysojusznicze zawiadamiają władze polskie o przywołaniu owego Neumana do porządku, o udzieleniu mu nagany. Dowodzi to słuszności i celowości naszych wystąpień, dowodzi konieczności pilnego obserwowania przez nas życia wewnętrznego powojennych Niemiec.

Sprawa Niemiec, ich statutu wewnętrznego, organizacji gospodarczej musi być uporządkowana i w tej sprawie opinia Polski powinna zaważyć na szali. Nikt chyba w świecie nie może być lepszym ekspertem od spraw Niemców niż my, którzyśmy ich tak dokładnie przez sześć lat poznali. Ale przy tych wszystkich dyskusjach, przy tych wszystkich pertraktacjach jedna sprawa stoi poza dyskusją, jest dla nas przesądzona raz na zawsze. To sprawa naszych granic zachodnich. Jest to nie tylko nasze stanowisko. Poparł je Związek Radziecki w znanym oświadczeniu ministra Mołotowa. Mimowoli poparł je również i Byrnes, gdy oświadczył, że punktem wyjścia w sprawie Niemiec musi być nienaruszalność układów poczdamskich.

A te układy są prawną podstawą naszego stanowiska, naszego twardego oparcia się o granicę na Odrze i Nysie.

ZBIGNIEW MITZNER



Uwaga całego świata skupiona jest w tej chwili na N. Yorku, gdzie odbywa się sesja O.N.Z. Na zdjęciu most brookliński, wybudowany w 1883 r., dług. 7580 stóp ang. (British Photo)

ZAGINIONE ARRASY

Wielkie poruszenie w społeczeństwie polskim wywołało sensacyjne zniknięcie naszych arcydzieł sztuki wywiezionych we wrześniu 1939 r. i po wielu perypetiach zdeponowanych w Kanadzie. Jak podaje prasa, depozyt ten składał się z 34 skrzyń, zawierających m.in. wywiezione z Wawelu słynne arrasy, których wartość oblicza się dziś na miliard złotych.

Arras jest to tkanina wzorzysta wykonana z cienkiej nici wełnianej, jedwabnej i złotej, tworząc dwustronny obraz. Nazwę swą zawdzięcza francuskiemu miastu Arras.

Zaginione arrasy wawelskie stanowią serię „Potopu" wykonaną w XVI w. w Brukseli.

Jakkolwiek Wielka Brytania zobowiązała się w Poczdamie do zabezpieczenia i zwrotu mienia polskiego za granicą, pragnie teraz, jak podają komunikaty prasowe, potraktować polskie dzieła sztuki — w myśl podszeptów Arciszewskiego— jako własność prywatną i zezwolić Arciszewskiemu na przywiezienie arrasów wawelskich do Rzymu.

Poniżej reprodukujemy jeden z zaginionych arrasów z serii „Potopu" przedstawiający „Rozmowę Boga z Noem".



Zmiany w imperiach kolonialnych

Ważniejszym faktem związanym z przyjęciem przez plebiscyt konstytucji Francji — jest utworzenie Unii Francuskiej, która będzie od tej chwili całość zamorskich posiadłości francuskich. Nowouchwalona konstytucja przewiduje, że głową Unii Francuskiej będzie z urzędu każdorazowy prezydent Republiki Francuskiej, prócz tego utworzy się takie wspólne organy, jak Rada Najwyższa i wybieralne Zgromadzenie Generalne.

To pociągnięcie polityczne Francuzów — choć pozostające na razie w sferze decyzji natury doktrynalno-koncepcyjnych — jest jednym z wyników przemian ideologicznych dokonujących się na płaszczyźnie krajów kolonialnych.

To samo powiedzieć można i o Imperium Brytyjskim. Tam nie było przeciwstawnych doktryn kolonialnych, tak jak we Francji, gdzie ścierały się koncepcje asymilacjonistów z federalistami. Brytyjczycy podchodzili do zagadnienia od strony gospodarczej jako do obszarów eksploatowanych, a początkowo kolonie ich były administrowane przez potężne towarzystwa eksploatacyjne. W czasach późniejszych władzę przejmował gubernator rządzący z dużą samodzielnością. Interwencja metropolii ograniczała się niekiedy jedynie do zmiany osoby gubernatora „gdy nadużycia jego przebrały już miarę przyzwoitości".

Doktryna kolonialna Brytyjczyków poszła w kierunku dawania posiadłościom swym czegoś w rodzaju samorządu w formie prawie zawsze zróżnicowanej i dostosowanej do indywidualnych warunków. Samorząd ten wyrażał się namiastką parlamentu, którego członkowie byli częściowo mianowani przez gubernatora, częściowo zaś wybierani przez szczupłe grono wyborców. Na przykład na Jamajce w r. 1941 wyborcy stanowili 5,5% ogółu ludności. W dominiach parlamenty miały oczywiście większe, bardziej realne znaczenie.

Angielska doktryna gospodarcza była jasna: kolonie przeznaczały nadwyżkę swych dochodów na swoje wyposażenie społeczne, drogi, szkoły i tp.

Tego rodzaju stan nie mógł się utrzymać. Zmiany polityczne i gospodarcze idące szeroką falą przez cały świat spowodowały zmianę tego nastawienia Brytyjczyków. Zmiana ta wyraziła się uchwaleniem „Aktu rozwoju i dobrobytu kolonii" w dniu 20 lutego 1940 r. Akt ten zmieniał prawo z r. 1929 i przewidywał utworzenie funduszu kolonialnego nie z miliona funtów rocznie, ale z 5 milionów i to na przeciąg 10 lat.

Polityczne zmiany były mniej uchwytne. Gubernatorzy dzierżą nadal inicjatywę władzy, która od czasu do czasu wchodzi do porządku dziennego obrad parlamentu, lub jest przedmiotem decyzji królewskich (odnośnie tzw. posiadłości koronnych). W niektórych posiadłościach parlament londyński posiada prawo bezpośredniej ingerencji w sprawy wewnętrzne. Wszystkie te ustawy konstytucyjne są czasowe, obowiązujące na okres 3—9 lat.

Jak z tego wynika Brytyjczycy stosują metodę rozwoju powolnego i ewolucyjnego. Nie znaczy to, aby nie mieli zaufania do narodów kolonii, lub do dania im ustrojów demokratycznych. Wynika to raczej z ich doktryny i metody opartej na empiryzmie i próbowaniu. Stosują to oni nie od wczoraj, lecz od dziesiątków lat, i dlatego Imperium Brytyjskie jest w spóźnionej, ale niemniej jednak ustawicznej zmianie.

U Francuzów było inaczej. Ich system kolonialny był sztywny i zaskorupiały w swych przestarzałych formach. Konstytucja wprowadza zmiany odgórne i jednocześnie ogólne, niesprecyzowane. Należy się spodziewać, że precyzowanie to będzie się odbywać etapami.

dr S. W. BEREZOWSKI

WALKA O ŻYCIE I ŚMIERĆ HITLERA

II.

PRZYGOTOWANIA DO OPERACJI „WALKIRIA"

Dążenie do usunięcia Hitlera, żywione przez spiskowców nie płynęło z nieprzejednanej nienawiści do führera. Było jedynie warunkiem koniecznym dla zagarnięcia władzy i zastąpienia reżimu hitlerowskiego przez dyktaturę wojskową. Wynikiem takiego założenia było położenie głównego nacisku na zorganizowanie i przygotowanie przewrotu wojskowego.

Lato 1943 roku upłynęło na przygotowaniach. Spiskowcy obliczali swoje możliwości, wypracowywali plany obsadzenia gmachów rządowych w Berlinie i nawiązywali kontakty z poszczególnymi dowódcami. Nie zawsze były one uwieńczone sukcesem. M. in. zwrócono się do gen. Guderiana. Schlabrendorff pisze o tym w swoim pamiętniku: „Okazało się, że Guderian jest gotów przystąpić do spisku jedynie w tym wypadku, gdy powodzenie będzie zapewnione. Trzeba więc było liczyć się z możliwością zdrady z jego strony. Wówczas jeden ze spiskowców generał von Rabenau oświadczył Guderianowi: „Ostrzegam pana przed zdradą, gdyż wdał się pan już w zbyt szczegółowe rozmowy z nami. Niech pan nie zapomina o tym, że w Trzeciej Rzeszy karze się nietylko tego, który podkłada ogień, ale również tego, który pierwszy o tym donosi". Tym nie mniej fakt, że wieczorem 20 lipca 1944 r. po nieudanym zamachu Guderian został szefem sztabu Wehrmachtu nie pozostawia wątpliwości co do ceny, za jaką uzyskał swoje nowe stanowisko".

Przygotowania były robione z typową niemiecką pedanterią. Desygnowany na dowódcę Wehrmachtu marszałek von Witzleben na rok przed zamachem podpisał rozkaz, który miał zainicjować zamach stanu, noszący kryptonim „operacja Walkiria". Oto wyjątki z tego dokumentu:

„1. Führer Adolf Hitler nie żyje.

Klika przywódców partyjnych pozbawiona skrupułów i obca żołnierzom frontowym usiłowała wykorzystać sytuację i zadając ciężko walczącym wojskom cios w plecy, chciała zagarnąć władzę dla egoistycznych celów. W tej godzinie największego niebezpieczeństwa rząd Rzeszy postanowił ogłosić stan wojenny dla utrzymania ładu i porządku, przekazując mi wraz z naczelnym dowództwem nad siłami zbrojnymi również władzę wykonawczą".

W dalszych punktach rozkaz przelewał władzę wykonawczą na poszczególnych dowódców okręgów wojskowych i komendantów wojskowych obszarów okupowanych. Podporządkował całość administracji niemieckiej nie wyłączając Waffen-SS, Niemieckiego Frontu Pracy ani Organizacji Todt i oczywiście policji, dowódcom wojskowym. Stauffenberg nie poprzestał jednak na tym jednym rozkazie. Opracował jeszcze dyrektywy wykonawcze, które podpisał sam za dowódcę tzw. Ersatzheer tj. sił wojskowych stacjonowanych w samych Niemczech. Generał Fromm nie należał do spisku, ale jego nazwisko było konieczne dla przeprowadzenia planowego zamachu stanu. Fromma miano więc w odpowiednim momencie zmusić do wzięcia czynnego udziału, lub aresztować w razie odmowy.

Tekst tego rozkazu daje pełny obraz planu działania spiskowców:

„Na podstawie pełnomocnictw udzielonych mi przez naczelnego dowódcę Wehrmachtu przekazuję władzę wykonawczą na terenie okręgów wojskowych generałom dowodzącym. Rozkazuję przedsięwziąć następujące kroki natychmiast:

a) obsadzić wszystkie urządzenia komunikacyjne, stacje radiowe i stacje wzmacniaczowe, instalacje użyteczności publicznej;

b) pozbawić urzędu i umieścić w specjalnie strzeżonym indywidualnym areszcie wszystkich gauleiterów, namiestników Rzeszy, ministrów, prezydentów, prezydentów policji, wszystkich wyższych oficerów SS i policji, kierowników urzędów SS i kierowników urzędów propagandy. Wyjątki zostaną ustalone przeze mnie;

c) obsadzić niezwłocznie obozy koncentracyjne i aresztować komendantów. Załogi należy rozbroić i skoszarować. Polityczni więźniowie winni się powstrzymać od wszelkich wystąpień do chwili zwolnienia z obozu.

d) Oficerów Waffen SS, co do których posłuszeństwa istnieją wątpliwości należy aresztować i zastąpić oficerami armii".

Po kilku drugorzędnych postanowieniach następuje typowa dla Niemców pedantyczna formułka:

podpisano: Fromm, generał pułkownik, hrabia Stauffenberg.

Dokumenty te przechowywał generał Olbricht, jeden z głównych spiskowców.



gen. płk. Ludwig Beck



dr. Karl Goerdeler, b. nadburmistrz Lipska

W czasie gdy wojskowi opracowywali plan działania, duchowy i polityczny przywódca spisku b. nadburmistrz Lipska Dr Goerdeler z niemniejszą pedantycznością opracowywał odezwę rządu Rzeszy, który miał objąć władzę po zabiciu Hitlera. Odezwa ta obejmuje w pamiętnikach Schlabrendorffa aż 10 stron druku. Równolegle do tych przygotowań odbywały się targi o poszczególne stanowiska przyszłych ministrów, przy czym Goerdeler starał się utrzymać przewagę cywilnych polityków.

Spiskowcy ustaliwszy w zasadzie swoje plany strategiczne skierowali całą swoją uwagę na pozyskanie jak największej liczby wybitnych wojskowych. Do wtajemniczonych z biegiem czasu doszli: generał v. Stulpnagel, dowódca wojsk okupacyjnych we Francji, generał v. Falkenhausen, dowódca wojsk w północnej Francji i Belgii, generał Stieff, szef wydziału organizacyjnego armii lądowej, generał łączności Fellgiebel, generał kwatermistrz Wagner, generał Lindemann szef zaopatrzenia artylerii i szereg innych wybitnych sztabowców. Z dawnych spiskowców marszałek Kluge pozostał takim jakim był, chwiejnym i niezdecydowanym sympatykiem każdego, który może będzie dzierżył władzę, a marszałek Rommel również się zaangażował, chociaż nie należał do ściślejszego grona zamachowców. Natomiast szef jego sztabu generał Speidel pozostawał w ścisłym kontakcie ze spiskowcami.

Przygotowania ciągnęły się bez końca. Nie można się więc dziwić, że gdy Himmler w czasie jednej ze swych konferencji z admirałem Canarisem, szefem wywiadu wojskowego oświadczył, że wie o szykującym się zamachu i w odpowiednim momencie każe aresztować generała Becka i Goerdelera, blady strach padł na spiskowców. Zdecydowano nareszcie przystąpić do zamachu na Hitlera. Oto jak opisuje Schlabrendorff kroki wstępne:



gen. Guderian, b. szef sztabu Wehrmachtu

„Tylko zamach mógł stać się początkiem przewrotu. Trzeba było powtórnie targnąć się na życie Hitlera. Dla dokonania tego trzeba było dwóch rzeczy: zamachowca i materiału wybuchowego. Tego ostatniego podjął się pułkownik von Freytagh-Loringhoven, który służąc w kontrwywiadzie pod admirałem Canarisem mógł mimo trudności wystarać się o angielskie środki wybuchowe. Pierwszą porcję spotkał dziwny los. Przewieziono je do kwatery głównej, znajdującej się podówczas w Prusach Wschodnich. Tam generał Stieff zaopiekował się materiałem wybuchowym. Jego współpracownicy ukryli go w drewnianej wieżyczce na terenie kwatery głównej. Z niewyjaśnionych przyczyn materiał wybuchowy sam się zapalił i wieża wyleciała w powietrze.

„Władze bezpieczeństwa zwróciły oczywiście uwagę na ten dziwny wypadek. Zarządzono dochodzenie. Zlecono je porucznikowi Schraderowi, który był jednym z naszych. Udało mu się zatuszować sprawę".

„Aby dokonać zamachu na Hitlera zamachowiec musiał się dostać do kwatery głównej. To spowodowało od pierwszej chwili zacieśnienie kręgu możliwych wykonawców do bardzo niewielkiej liczby. Uzyskałem dokładny opis dnia w kwaterze Hitlera. Dopiero o dziesiątej służący budził Hitlera. Jednocześnie przywożono specjalną windą śniadanie do jego sypialni. Jednocześnie otrzymywał przygotowane przez Ribbentropa wyciągi z prasy zagranicznej. Ponieważ Hitler nie znał żadnego języka wszystko było tłumaczone na niemiecki. Wszystkie dokumenty przedkładane Hitlerowi były pisane na specjalnej maszynie o szczególnie wielkich czcionkach. Hitler był krótkowidzem. Trzeba było wszystko pisać tak, by mógł czytać bez okularów, gdyż nie życzył sobie aby po sposobie trzymania dokumentów można było poznać, że ma słaby wzrok. Jedynie do studiowania mapy używał okularów albo lupy.

(dokończenie nastąpi).

Władysław Pawlak

ARCYDZIEŁA

„Lalka", „Faraon", „Krzyżacy", „W pustyni i w puszczy", „Quo vadis", „Popioły", ostatnio „Chłopi" — oto szereg arcydzieł literatury polskiej, jakie się w ciągu kilku miesięcy ukazały i znajdują chętnych nabywców. Być może pochodzi to stąd — napisałem w poprzednim felietonie — że czytelnik pragnie dziś tzw. dobrej starej, orzeźwiającej książki, która by zdolna była „odbudować" jego psychikę, rozharataną przez wojnę. Postępowy i futurystyczny w literalnym znaczeniu słowa — a więc nowatorski i pracujący dla przyszłości krytyk gotów określić ten stosunek czytelnika do książki jako „ucieczkę od rzeczywistości", jako pragnienie przede wszystkim łatwizny, wówczas gdy — powiedzmy — „Mury Jerycha" Brezy albo „Stary dworek" Ważyka wymagają od czytelnika postawy czynnej, wysiłku i pokonywania w lekturze trudności zarówno formalnych jak ideowych. Może tak jest. Wszelako słuszność ma i Mickiewicz, który powiada, że bywają takie chwile zmęczenia w życiu narodów a zapewne i całej ludzkości, gdy: „jedyne szczęście, kto w szarej godzinie z kilku przyjaciół usiadł przy kominie, drzwi od Europy zamykał hałasów, wyrwał się myślą do szczęśliwszych czasów i dumał, myślał..." I nie jest to — że się tak uczenie wyrażę — absenteizm społeczny, polityczny i obywatelski czyli rozmyślne uchylanie się od obowiązków, jakie nakłada na nas bieżąca rzeczywistość — ów absenteizm, który piętnowali już nasi pozytywiści, tacy właśnie jak Prus, wznawiany dziś w różnych wydaniach. Jest to po prostu przyrodzona każdemu człowiekowi chęć odpoczynku po burzach, przewrotach i okropnościach wojny, jakie przeżył, i chęć wytchnienia od bezładu, w jakim jeszcze po wojnie świat musi trwać czas pewien.

Rzeczywiście, tzw. stare dobre książki przynoszą uspokojenie moralne. Być może niektóre z nich pisane są naiwnie, ale czyż naiwność nie bywa odświeżająca? Naiwność — to stosunek dziecka do zjawisk życia, a dziećmi zachwycamy się zawsze i kochamy je. Ktoś mądry powiedział: bądźmy jako dzieci. Naiwność — to bezpośredniość, brak sztuczności i pozy, to szczerość i prostota, czyli dary, dane nam przez samą naturę, wrodzone, bo właśnie jako dzieci przynosimy je ze sobą na świat, a dopiero potem — jak mówi poeta — życie pomału tępi w nas ostrze zbytniego zapału. Wyraz „naiwny" pochodzi od francuskiego „naïf", a ten powstał z łacińskiego „nativus", co znaczy: przyrodzony, naturalny.

Tak więc, naiwność niektórych dobrych książek nie może być poczytywana za niedostatek. Naiwności towarzyszy pokora. Każdy prawdziwie wielki pisarz jest człowiekiem pokornym. Grafoman, zarozumialec i wszystkowiedz bywa pyszny. „Niech się twa dusza jako dolina położy, a wnet po niej jak rzeka popłynie duch boży" — czyli mądrość, — nauczał Mickiewicz, a Chesterton — mądry paradoksista — tę samą myśl ujmował w takich słowach: „Pokora jest matką olbrzymów. Z doliny widzi się wielkie rzeczy — ze szczytu góry tylko małe. Jeżeli nie pobudzamy się nieustannie do pokory, coraz mniej rozumiemy znaczenie nieba i kamieni". A co to jest niebo i co to są kamienie? Niebo jest nad naszą głową, kamienie — pod naszymi stopami: to są dwa bieguny, śród których żyjemy.

Taki stosunek do rzeczywistości — naiwny, pokorny i mądry — można znaleźć w tzw. arcydziełach literatury, w tych, które wymieniliśmy na wstępie, i w takich jeszcze, jak „Pani Bovary", „Klub Pickwicka", „Wojna i pokój", „Czarodziejska góra" i im podobnych. Pewnie dlatego nazywamy je „nieśmiertelnymi". Są one pisane według dziwnej recepty — bardzo starożytnej, bo podanej przez pewnego genialnego Greka, może Arystotelesa. Powiedział on tak: każde dobre pisanie musi mieć po prostu początek, środek i koniec, a gdy mówi o wrogu, nawet wroga uczynić szlachetnym. Pisać w ten sposób jest trudno, nawet bardzo trudno, ale za to czytać takie rzeczy łatwo jest, przyjemnie i pouczająco. Porywa nas w nich to, co się nazywa „narratio" czyli opowiadanie, zdolność opowiadania czyli właśnie owa umiejętność nawiązania wątku, rozwinięcia go i zakończenia: początek, środek i koniec. Z takiej „narratio" rodzą się wszystkie wartości budujące utworu, które zaspokajają potrzeby duchowe czytelnika. Taka „narratio" jest spokojna w swym toku, a dramatyczna w przedstawieniu opisywanej rzeczywistości; jest obiektywna i sprawiedliwa w osądzie ludzi i wydarzeń; jest beznamiętna w swym nurcie, jak beznamiętna jest płynąca rzeka, lecz jednocześnie tak pełna różnorakich uczuć, jak pełne są rozmaitości w swych przelewach wody rzeki płynącej. Taka „narratio" jest w istocie swej tym, o czym w „Epilogu" do „Pana Tadeusza" prawił Mickiewicz: ona młodszym rzeczy trudniejsze tłumaczy, chwali piękności, a błędom wybaczy. Jest tak prosta, jak piosenki wieśniacze. Ludziom, którzy tak umieją opowiadać — prawi Mickiewicz — „zazdrości młodzież" i nazywa ich „wieszczami". I słucha ich jak Homerów, którzy umieli wywoływać i bohaterów i zbrodniarzy, z jednaką prawdą, z jednakim wstrząsem i z jednakim celem: aby słuchacz unoszony nurtem opowieści, obmywając się w tym nurcie stopniowo z wszelkich możliwych wzruszeń, doznawał wreszcie uczucia oczyszczenia się moralnego.

Z jednaką prawdą... To jest najtrudniejsze. Dążenie do prawdy jest najcięższym wysiłkiem pisarza. Arystoteles powiedział: używaj słów w ich właściwym znaczeniu, pisz jak mówisz, pamiętając tylko o tym, że słowa giną, a to co piszesz pozostaje: musisz więc myśleć nad tym, co piszesz, i brać za to na siebie odpowiedzialność moralną. Carducci mawiał: pisarz, który może wyrazić swoją myśl w dwóch słowach, a używa na jej oddanie trzech — kłamie. I pewnie dlatego, że pisać prawdę jest trudno, że człowiek jest ułomny i nie umie jej należycie rozpoznać, każdy istny twórca chce ją zdobyć i walczy o nią, zyskując wzamian uznanie swych współcześników i potomności. A o fałszywych twórcach świat zapomina.

Jerzy Wyszomirski

L O N D Y N

(Korespondencja własna)

Przestrzeń

Londyn jest jedynym może miastem na świecie, w którym zorientować się w sposób dokładny trudno wyjącznie przy pomocy planu miasta, a przynajmniej takiego planu, jaki jest do nabycia u ulicznych sprzedawców za 2 szylingi i który nie zawiera nawet dziesiątej części ulic tego wielkiego kolosa miejskiego, o którym sami Anglicy z troską, ale i z odcieniem dumy mówią, że jest „to big". Składa się na to nie tylko jego wielka przestrzeń, której niepodobna zmieścić na jednym za drukowanym arkuszu papieru bez takiego zmniejszenia, przy którym muszą ulec eliminacji mniej ważne połączenia i uliczki, ale i to, że tych uliczek i zaułków, maleńkich i wcale nie wielkomiejskich, ma gigantyczny Londyn takie mnóstwo, jak zgoła nie Londyn, ale doprawdy jakieś prowincjonalne angielskie Kielce czy angielski Lublin.

Prowincja

O dwa kroki od głównej arterii wąskiej, ściśniętej między siedmiopiętrowe bloki i zapchanej przez samochody, drzemią sobie maleńkie i puste skwerki obudowane przez bliźniaczo podobne rzędy domów z oddzielnymi gankami na dwu cienkich słupkach, z których każdy stanowi wejście do oddzielnego jednorodzinnego wnętrza, stanowiącego zawsze jednakowo urządzony, angielski „home".

Im dalej od rojnego śródmieścia (city), z którego urzędy, banki, domy towarowe, hotele, biura i kino-teatry wygnały oddawna mieszkającego człowieka, tym więcej małych domków, więcej przy nich zielonej przestrzeni małych ogródków, ciągnących się na peryferiach wielkiego Londynu długimi kilometrami.

Zatory

Większość londyńczyków mieszka daleko, nieraz trzy kwadranse, czy godzinę drogi szybko mknącą koleją podziemną od miejsca swej pracy, znajdującego się w śródmieściu. Wyjeżdża doń z rana, wraca do domu wczesnym wieczorem, po zamknięciu biur i sklepów, już o godzinie 5-ej najdalej 6-ej po południu. Godziny ranne, południowe (pora lunchu, jadanego zazwyczaj na mieście, w pobliżu miejsca pracy) i przedwieczorne są w kolei podziemnej na wielkich arteriach w centrum miasta godzinami największego nasilenia ruchu pieszego, samochodowego i autobusowego. Tworzy on z powodu wspomnianej wąskości ulic, nawet głównych arterii (Londyn nie został poddany nigdy tak gruntownej urbanistycznej przebudowie, jak Paryż w połowie ubiegłego stulecia) nieprawdopodobne zatory sprawiające, że korzystanie w tych godzinach na krótkim dystansie z komunikacji autobusowej staje się wręcz nieopłacalne, zważywszy stratę czasu na czekanie na przystanku (autobus przyjmuje tylko tylu pasażerów, ile jest miejsc siedzących) i na licznych skrzyżowaniach zakorkowanych do niemożliwości ulic.

Porządek

Tu zaznaczyć trzeba, że ruch uliczny w całym niemal Londynie regulowany jest przy pomocy sygnalizacji automatycznej, co sprawia, że nieraz samochód czy autobus musi zatrzymać się na widok czerwonego światła nawet wówczas, gdy w późniejszych godzinach lub w odleglejszej od śródmieścia dzielnicy, — ulica naprzeciw jest zupełnie pusta. Jest jednak rzeczą nie do pomyślenia, żeby nawet w tym wypadku, kiedy nie grozi to żadnymi konsekwencjami karnymi, kierowca mógł naruszyć przepisy.

Organizacje

Całe życie Anglika, zwłaszcza londyńczyka, żyjącego szybkim, zautomatyzowanym rytmem wielkiego miasta, jest tym systemem społecznych urządzeń uregulowane w sposób, bez którego byłoby w obrębie tego miejskiego kolosa — najzupełniejszym absurdem.

Rzeczą nie do pomyślenia byłoby, mimo wspaniałej komunikacji, dwukrotne przerzucenie w ciągu dnia kilkomilionowej masy ludzkiej z jednego krańca miasta na drugi bez wspaniałej, cichej, sprawnej, bezbłędnej organizacji każdej z najdrobniejszych codziennych funkcyj życiowych, które ma do spełnienia każdy londyńczyk, rano i wieczorem, kiedy spieszy do najbliższej stacji metro, ustawia się w kolejce, wykupuje w automacie bilet, przechodzi zależnie od tego czy spieszy mu się mniej czy więcej, na lewą lub prawą stronę taśmy ruchomych schodów. (z prawej rząd mający więcej czasu zjeżdża na stojąco, zatopiony w lekturze gazet, z lewej — rząd spieszących się pomaga sobie ruchem własnych nóg...) itd. itd.



Młoda angielka z przenośnym aparatem radiowym, przewieszonym przez ramię na londyńskim przystanku autobusowym. W głębi typowy londyński autobus piętrowy

Ogonki

Karne i szybko posuwające się naprzód ogonki nie są wynikiem powojennych niedomagań, lecz konsekwencją uregulowanej w pewien sposób ogromnej machiny miejskiej. Nie ma w nich sporów o miejsce i o pierwszeństwo. Wydaje się, że w ogóle nie ma miejsca na normalną ludzką sprzeczkę w tym spieszącym się tłumie tak cichym, że każdy bardziej podniesiony głos budzi publiczne zdziwienie i zgorszenie. Anglicy nie lubią hałasu: to między innymi różni ich od Amerykanów, którzy są tu nielubiani m. in. właśnie za hałaśliwość.

Ogonki spotkać możemy na przystanku autobusów, przy kontuarach wielkich, popularnych restauracyj Lyonsa, gdzie można usługując sobie samemu i biorąc kolejno na tacę dowolnie wybrane potrawy, zjeść śniadanie i obiad za półtora i za dwa szylingi, podczas gdy w innych restauracjach, w których usługują kelnerzy, podobny obiad kosztuje pięć szylingów, spotkać je można niekiedy przed większymi kinami w śródmieściu, zwłaszcza gdy chodzi o miejsca najtańsze (kina na ogół są drogie); największe wreszcie ogonki, jakie zdarzyło mi się widzieć w Londynie tworzyły się codzień przed wejściem na popularną w tej chwili w całej Anglii wystawę „Britain can make it" — Wielka Brytania może to zrobić, — której nazwa jest parafrazą popularnego w czasie wojny powiedzenia „Britain can take it" — Wielka Brytania może to wytrzymać — (mowa była o nieprzyjacielskich nalotach).

Co może zrobić i o czym marzy Wielka Brytania

Możnaby sobie zadać pytanie, co jest przyczyną niezwykłej popularności tej wystawy, nie wiele bardziej w gruncie rzeczy atrakcyjnej niż zwykły, dobrze urządzony dom towarowy. Dowcipni sceptycy w Londynie nazwali ją jeszcze inaczej: „Britain can not get it" (Wielka Brytania nie może tego dostać...). Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że wszystkie artykuły codziennej potrzeby są w Anglii wyłącznie na kartki i przeciętny Brytyjczyk nie może kupić ich więcej, niż mu na to pozwalają jego 44 kupony rocznie. Większość artykułów nieracjonowanych jest uznana za przedmiot zbytku i obłożona niezmiernie wysokim podatkiem od luksusu, toteż kupno ich w dużym stopniu przekracza możliwości nabywcze przeciętnego obywatela.

Otóż, jeżeli wystawa „Britain can make it" obrazuje, jak głoszą jej anonse, wysiłek przestawienia przemysłu brytyjskiego z gospodarki wojennej na pokojową i zastosowanie szeregu brytyjskich wynalazków technicznych o znaczeniu wojskowym do produkcji pokojowej, jeżeli jest ona w chwili obecnej manifestacją produkcyjnych i eksportowych możliwości Wielkiej Brytanii, to z drugiej strony dla szerokich mas londyńskiej publiczności jest ona tym, o czym publiczność ta w ciągu długich lat wojny tęskniąca do przedwojennego luksusu i komfortu technicznego, marzyła i o czym dotąd marzy: nieosiągalną wciąż bajką o przenośnym aparacie radiowym, który można przewiesić przez ramię jak aparat fotograficzny (podczas wojny fabrykowano takie aparaty rzekomo dla działaczy „ruchu podziemnego"), baśnią o pięknie i nowocześnie umeblowanym wnętrzu, rowerze lub maszynie do pisania, na możność kupna których trzeba wciąż czekać miesiącami w kolejce zapisu, baśnią o nowych sukniach i drogich wyrobach galanteryjnych, których zresztą pełno jest na londyńskich wystawach. Wielka Brytania może to zrobić — wierzymy w to i nigdy nie wątpiliśmy. Wielka Brytania chciałaby to eksportować i dobrze sprzedawać. Wiemy o tym także. A londyńczycy? Londyńczycy są skromni w wymaganiach. Nie mogąc wielu z pożądanych rzeczy kupić, chcieliby chociaż na nie popatrzeć.

I dlatego wokół wielkiego gmachu Muzeum Wiktorii i Alberta stoi codziennie od wczesnego ranka długi ogonek, większy niż przed kasą kina na Haymarket, gdzie idzie amerykański film — rewia w kolorach naturalnych, i większy niż przed restauracją Lyonsa na Oxfordstreet, gdzie gorące dania przesuwają się przed klientem na ruchomej taśmie...

Ryszard Matuszewski



Konny posąg „czarnego księcia" wynurza się z mgły porannej, jak symbol miasta, będącego sercem „czarnej" Anglii...



Ruch uliczny w Londynie (British Photo)



Ruchome schody londyńskiego metro. W głębi ogonek „wjeżdżających". Po lewej stronie zostawiono wolne miejsce dla tych, którzy chcą się poruszać szybciej. Na pierwszym planie transport obrazów jednej z londyńskich galerii ze schronu, gdzie były schowane w czasie wojny. (British Photo)



Ogonek po chleb w East End, najuboższej dzielnicy Londynu (British Photo)

HISTORIA PRAWIE NIEPRAWDOPODOBNA

Prasa amerykańska nie cieszy się zbyt dobrą opinią. Niejednokrotnie — z ambon, z trybuny parlamentarnej, a nawet i ze sceny — oskarżano ją o cyniczne gierki i szantaże, brutalność i nieuczciwość, sprzedajność i brak uczuć ludzkich. A jednak w stanie Indiana zdarzyła się niedawno historia głęboko wzruszająca, której bohaterami byli redaktorowie wielkiego dziennika tamtejszego i mała bezbronna dziewczynka.

Ta dziewczynka, Eleonora Harvey, która straciła rodziców na wojnie, leżała w szpitalu umierająca. Dla ratowania dziecka trzeba było choćby drobnej ilości trudnego do otrzymania lekarstwa, streptomycyny. W USA posiadają je obecnie tylko szpitale wojskowe. Ale, w myśl obowiązujących przepisów, dyrektorowie tych szpitali nie mogą wydać lekarstwa osobom cywilnym. I tu wkracza naczelny redaktor pisma „Indianopolis Star". Dowiedziawszy się o sprawie Eleonory Harvey, telefonuje do swego korespondenta w Waszyngtonie, by starał się natychmiast o audiencję u prezydenta Trumana. Tylko szef rządu może polecić, by wydano cenne lekarstwo dla ratowania dziecka. Zlecenie zostaje wykonane w kilka godzin. Prezydent Truman zezwala. Wyłaniają się trudności nowe. Najbliższy szpital wojskowy, posiadający streptomycynę jest oddalony o 200 km. Nie przeraża to redaktorów „Indianopolis Star". Szalonym raidem nocnym pędzą na miejsce i udaje im się zdążyć na czas. W chwili gdy można jeszcze uratować Eleonorę. Pamiętamy, że wyścig podobny skończył się tragicznym spóźnieniem w „Siłaczce" Żeromskiego!

Nieoczekiwany jest finał tej sprawy. Wyobrażalibyśmy sobie, że „Indianopolis Star" wyzyskał ofiarność swych pracowników i ich energię dla autoreklamy, a tym samym — zwiększenie nakładu. Nic podobnego! W piśmie nie ukazała się o tym wydarzeniu żadna wzmianka. Dopiero po kilku miesiącach dowiedziano się o tym — z pism innych. Ten właśnie finał nadaje sprawie koloryt niemal fantastyczny. Lata ostatnie nie przyzwyczaiły nas do tak bezinteresownego wydatku energii. „Indianopolis Star" przyczynia się do odzyskania wiary w człowieka.

Wojciech Natanson.

CZECHOSŁOWACJA PRACUJE

(Korespondencja własna z Pragi)



Brama Praska z XIV wieku.

W sposób nieco dziwny dla Polaka obchodziła w tym roku Praga w dniu 28-go października doroczne święto narodowe — rocznicę utworzenia Republiki. Nie było uroczystych fanfar, masowych przemarszów, ani też wojskowych defilad. Zresztą wojska — poza eskadrą lotniczą, która kilka razy okrążyła miasto w locie zniżonym, w ogóle nie było widać.

W dżdżysty ranek poniedziałkowy 28-go października zgromadziły się w sercu Pragi na Placu Św. Wacława (sławne Václavske Nâměsti") nieprzebrane tłumy. W górującym nad placem gmachu Muzeum Narodowego („Zemskê Museum") zebrali się członkowie rządu i parlamentu, reprezentanci życia politycznego, gospodarczego, kulturalnego i społecznego, korpus dyplomatyczny oraz — oczywiście — dziennikarze. Punktualnie o jedenastej nadjechała witana burzą oklasków, niemodna już, solidna czarna limuzyna i wysiadł z niej średniego wzrostu siwy pan o mądrych oczach i miłym uśmiechu.

To prezydent republiki Czechów i Słowaków dr. Edward Benesz przybył, aby wziąć udział w święcie narodowym.

Przebieg uroczystości świątecznych był prosty i krótki — ale jakże znamienny! Dr. Benesz podpisał dekret czeskiej „dwulatki" — dwuletniego planu odbudowy państwa. Przedstawiciele wszystkich warstw narodu złożyli kolejno na ręce prezydenta ślubowanie, że plan ten zostanie wykonany. Do tłumów zebranych na placu Św. Wacława wygłoszono parę krótkich lecz treściwych przemówień i — uroczystości się skończyły.

To tylko tak na zewnątrz przebieg święta narodowego w Pradze wyglądał niepokaźnie. Trzeba zrozumieć sens tego, że nie czas na przewlekłe uroczystości, barwne widowiska, pobrzękiwania szabelką. Trzeba pracować.

I każdy obywatel Czechosłowackiej Republiki tę konieczność pracy w ciężkich powojennych warunkach dobrze rozumie. I na każdym Czechu owe skromne uroczystości państwowe zrobiły głębokie wrażenie.

Ten bratni, sąsiedzki naród, naród słowiański, który przed wojną liczył jakąś fantastyczną liczbę kupców, — bodajże 30% ogółu ludności, różni się od nas. W jednej z licznych rozmów, jakie miałem w Pradze, pewien Czech dowodził, że Polacy są narodem na wskroś emocjonalnym.

— A my, to emocje ograniczamy do małżestwa! — dopowiedział mu przysłuchujący się naszej rozmowie jeden z praskich dziennikarzy.

Tak jest. Czesi są narodem, kierującym się w pierwszym rzędzie — rozumem. I dlatego tak często właśnie my oskarżamy ich o brak uczucia Tymczasem to oni mają nam do zarzucenia, że zbyt łatwo dajemy się powodować czynnikiem emocjonalnym. Wiedzieć przede wszystkim musimy, że Czesi —to naród, który u m i e pracować.

Praga dzisiejsza różni się znacznie od tej, którą po raz ostatni widziałem w lipcu ubiegłego roku.

Ciemne wówczas ulice, zapłonęły dziś łuną neonów. Może nie tak wspaniałą, jak to niedawno widziałem w Sztokholmie, lecz dostateczną, aby naszemu warszawiakowi zakręciło się w głowie i łzy w oczach stanęły na myśl o swym biednym nadwiślańskim grodzie. Jezdnie zatłoczone są pięknymi, nowoczesnymi wozami, wśród których przeważają opływowe linie „Tatr" i „Skód" najświeższej produkcji. Wystawy sklepowe pełne towaru.

Mówiło się popularnie, że w Czechosłowacji wszystko jest na „listky a cigarety" (na kartki i papierosy). Trudno byłoby dziś już to stwierdzić. Papierosy przestały być takim rarytasem i kartek bynajmniej nie zastępują. Te ostatnie wprawdzie jeszcze są, lecz coraz więcej artykułów wypada spod reglamentacji.

Bez kartek kupuje się już dziś kartofle, warzywa, drób, ryby, owoce, sery ,spirytualia. Bez kartek można już dostać płótno lniane, buty dziecięce, krawat i szalik, a nawet niekiedy bieliznę. Co chwila wprowadzane są nowe zwolnienia.

System kartkowy w Czechosłowacji jest zupełnie różny od naszego. Gdy u nas, powiedzmy szczerze, kartki stanowią pewnego rodzaju uzupełnienie, w Czechosłowacji wprowadzono system generalnej reglamentacji i z przydziałów kartkowych żyją oraz z nich się ubierają niemal wszyscy. Stąd — wyrównanie poziomu życiowego i brak rażących dysproporcyj.



Widok na rzekę Weltawę i zamek Hradczyn



Oba brzegi Weltawy połączone są pięknymi mostami (Zdjęcia Ag. Czechosłowacka)

Przemysł ciężki, elektryczny, żywnościowy, kopalnie, banki, ubezpieczenia — zostały upaństwowione całkowicie. W innych dziedzinach upaństwowiono przedsiębiorstwa, liczące ponad 500 pracowników. Przemysł i handel prywatny traktowany jest jako ważny współczynnik gospodarki narodowej i bynajmniej nie jest uważany za jakieś malum necessarium.

Wyniki tej pracy widać na każdym kroku. Jej syntetycznym obrazem były pierwsze powojenne Targi Praskie, które mogły zaimponować każdemu. Cieszyły się też niebywałym powodzeniem. Czesi potrafią pracować. Zresztą teraz mają już pracować sami. W dniu bowiem 27-go października, czyli w przeddzień święta narodowego opuścił granicę państwa czechosłowackiego ostatni transport wysiedlanych Niemców. Wyjechało ich przeszło dwa i pół miliona. Pozostało jednak około 300.000, — uznanych za „demokratów". Nas cyfra ta, stanowiąca prawie 10% ogólnej liczby Niemców, jacy zamieszkiwali Czechosłowację, musi trochę zdziwić. Czy to aby nie za dużo wykryto tych „demokratów"? Pamiętamy, jak ludność niemiecka w Czechosłowacji się zachowywała. 98,78% Niemców sudeckich głosowało za Hitlerem. Przeciwnych „führerowi" było zaledwie 1,22%. Czyżby aż tak bardzo, czyżby naprawdę ośmiokrotnie przeciwnicy nazizmu się rozmnożyli?

Czy też może czeska tolerancja poszła trochę za daleko?... **Juliusz M. Zagórski**

MY SAMI W NOWEJ GOSPODARCE

IX. MY SAMI W SPÓŁDZIELCZOŚCI

NARZEKANIA I ZARZUTY

Spółdzielczość nie jest popularna w tych czasach ogólnej popularności. Słychać dokoła zarzuty, a raczej narzekania niż zarzuty. Zarzuty stawia się wtedy, kiedy się chce coś zmienić, poprawić, albo usunąć. Narzeka się bezwolnie i beznadziejnie. A więc, nadużycia, brak fachowców: opieszałość. Spółdzielczość nie zwalczyła lichwy. Spółdzielczość nie podniosła cen zboża. Nie usunęła nędzy.

DWA SZKODLIWE POCHLEBSTWA

U źródeł narzekania można bez trudu odkryć — zbyt pochlebne pojęcie o spółdzielczości. Kiedy się narzeka, że spółdzielczość nie zmieniła w ciągu roku obrazu polskiej twardej rzeczywistości — myśli się, że mogła. Gorzej — myśli się nieraz, że mogła wszystko i — jeszcze gorzej — myśli się, że mogła „sama w sobie" — bo przecież jest spółdzielczością, potężnym i cudownym lekarstwem, które „samo" wszystko leczy. Skoro — może — powinna, skoro nie leczy — winna.

Kiedy się narzeka, że spółdzielczość jest taka, jaką jest rzeczywistość — myśli się pochlebnie, że powinna być lepsza.Że „z natury" jest lepsza, że jest „z natury" aniołem gospodarczym, którego białej szaty nie ima się ziemski pył ani błoto. Pochlebstwa są szkodliwe — jeśli nie mówią prawdy. A kiedy mówią prawdę — przestają być pochlebstwami. Szukajmy więc po prostu prawdy.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ NIE JEST CUDEM

Spółdzielczość nie jest cudem. Jest po prostu zrzeszeniem żywych i ziemskich ludzi, pracujących w ziemskiej rzeczywistości gospodarczej. Jest taka jacy są ludzie i jaka jest rzeczywistość gospodarcza.

Spółdzielczość nie jest cudownym lekiem — ani w ogóle lekiem, który leczy sam. Spółdzielczość jest narzędziem, które pomaga tworzyć temu, kto chce i umie tworzyć. I jak każde narzędzie — nadaje się do pewnych celów — nie do wszystkiego na świecie.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ NASZYM JEST NARZĘDZIEM

Spółdzielnia jest przedsiębiorstwem pracujących — naszym przedsiębiorstwem. Zdziała tyle — ile my sami przez nią zdziałamy. Nie wystarczy założyć spółdzielnię, a potem... ręce — w oczekiwaniu na dobroczynne skutki. Spółdzielnią trzeba rządzić. A więc trzeba znaleźć dla niej pracowników. Napewno do pracy nie sfruną aniołowie — ale zgłoszą się ludzie, tacy, jacy są. Bardziej, lub mniej przygotowani, bardziej lub mniej zdemoralizowani sześcioletnią wojną, bardziej lub mniej świadomi, czego od nich chcemy. My sami musimy wybrać najlepszych, szkolić ich, my sami musimy wyraźnie powiedzieć czego od nich chcemy. My sami musimy dopilnować: kontrolować, uczyć, usuwać i dobierać. To jest obowiązek każdego gospodarza i każde gospodarstwo znaczy tyle, ile chce i może w prawdziwej rzeczywistości zrobić gospodarz. Spółdzielnia, spółdzielczość — to my sami.

Wierzymy, że spółdzielczość jest „czymś lepszym" w gospodarce. I mamy rację: dla nas jest czymś lepszym, bo jest nasza własna i służy nam samym. Będzie dla nas tak dobra — jak dobrzy my sami dla siebie będziemy. Tego od niej możemy wymagać. Ale nie więcej, nie możemy wymagać, żeby była dla nas lepsza od nas samych. Tego nie można wymagać nawet od ludzi, cóż dopiero od narzędzia.

Stara prawda: taka jest spółdzielczość — jakie spółdzielnie: takie spółdzielnie — jacy członkowie, tacy członkowie — jakie społeczeństwo. Jacy my sami.

NARZĘDZIE CZEKA NA RĘCE

Tak jest zawsze i wszędzie. Ale dzisiaj w Polsce jest gorzej.

Oto spółdzielczość wybiegła przed członków. U progu 1945 roku spółdzielczość sama rozbita, zaledwie z zalążkiem aparatu, bez członków, bez magazynów, stanęła wobec pustki gospodarczej. Ogromne potrzeby wyniszczonego narodu, ogromne zadania, właśnie zadania dla spółdzielczości — i pustka. Trzeba było zadania spełnić i to natychmiast. Trzeba było aprowidować głodnych, zbierać zboże, rozprowadzać to, co było do rozprowadzenia. To była robota dla spółdzielczości i tylko ona mogła to zrobić. W pustce zaczęliśmy, jako Polska, budować nowy ustrój. W interesie pracujących, w interesie przyszłych członków spółdzielczość musiała zająć w tym powstającym ustroju wyznaczone i mocne pozycje. Czy miała zrzec się swej roli i zostawić odłogiem swe obowiązki narodowe w oczekiwaniu na normalny, wieloletni rozwój od początku? Czekać na członków, na nowe tysiące spółdzielni, na nowe dziesiątki tysięcy wyszkolonych pracowników?

Nie czekała. Związek „Społem" utworzył ponad trzysta placówek zamiast przedwojennych kilkudziesięciu. Sześciokrotnie zwiększono liczbę pracowników, stworzono organizację centralną, zajęto pozycję w przemyśle. Czy można się dziwić, że ten nowy aparat i nowi ludzie nie pracują idealnie? Kto w ogóle w Polsce może pracować dzisiaj idealnie — bo to nie tylko spółdzielczość — tak przecież powstawała cała Polska?

Stworzono nowoczesne spółdzielcze narzędzie gospodarcze ludu pracującego, teraz najważniejsze:

...poprawić, używać!!!

Teraz człowiek pracujący musi to narzędzie ująć w ręce. Musi poprawić, uporządkować — używać. Muszą powstawać nowe spółdzielnie. Muszą rozbudować się dawne. 10 tysięcy nowych sklepów, setki magazynów, dziesiątki nowych fabryk. A przede wszystkim miliony nowych członków.

Spółdzielczość jest aparatem na zapas. Ale nie może zostać na zawsze samym aparatem. Nie dlatego spółdzielczość weszła do gospodarki, że jest aparatem. Weszła po to, żeby była spółdzielczością. Aparat spółdzielczy jest dobry wtedy, kiedy jest nie tylko aparatem — kiedy jest ruchem społecznym — ruchem gospodarczym pracującym w wielkim ruchu ludowym. Sprawą sensu i bytu spółdzielczości i wszystkiego co ona znaczy w gospodarce narodowej i codziennym życiu pracujących — jest, żeby jak najpilniej stała się ruchem żywym. Jeżeli to wspaniałe narzędzie ludu, jakim jest spółdzielczość zardzewieje w oczekiwaniu na ręce robotnicze i chłopskie, ktoby je ujęły — to nie będzie jego wina. To będzie wina ludzi. Nasza wina.

WSZYSTKO ZALEŻY OD NAS

Wszystko zależy od nas. Nie tworzy się narzekaniem, nie broni się lamentami. Tworzy się robotą. Naszych własnych spraw w gospodarce my sami musimy pilnować, bo za nas nikt tego nie zrobi. Wszelkie pretensje do wszelkich potęg nieba i ziemi nie zmienią tego prostego faktu.

Odpowiedzialność za swoje losy nie jest sprawą „poczucia", jak to się często mówi. Odpowiedzialność za swoje losy jest faktem. Faktem demokratycznym — bo, skoro się tyle mówi o demokracji — to chociaż tyle trzeba wiedzieć, że demokracja znaczy: nasza własna odpowiedzialność za nasze losy — mas pracujących.

Nowy ustrój Polski — państwo — spółdzielczość, samorząd, kontrola społeczna — to tylko drzwi, przez kto re musimy wejść do nowej Polski my — pracujący, jej gospodarze.

Polska czeka na nowych gospodarzy.

Adam Rapacki

Stanisław Ryszard Dobrowolski

29 listopada — to data w naszym historycznym kalendarzu o wielostronnej, bogatej w skojarzenia wymowie dla umysłu Polaka.

Data 29 listopada — to echo pamiętnej nocy w Warszawie, rozbrzmiewającej okrzykami: „Polacy! do broni!"

To dziejowe echo nocy, którą znakomity poeta romantyczny, pisarz i żołnierz, jeden ze sławnych „belwederczyków", owych dwudziestu uczestników łazienkowskiej wyprawy na wielkiego księcia Konstantego, nazwał swoją najlepszą piosenką:

„Siódma wieczorna, dwudziesty dziewiąty—
Oto najlepsza z twych pieśni piosenka,
O tak, tej jednej, tej krótkiej piosenki
Nie oddam za przeszłość całą.
Poezji duchu, dzięki tobie, dzięki,
Przez ciebie grałem ją śmiało!"



29 listopada — to noc okryta nieśmiertelną sławą legendy, to wspomnienie spisku podchorążych i ich duchowego przywódcy por. Piotra Wysockiego, to gwiaździsty płaszcz poezji rzucony na historyczną scenę przez Wyspiańskiego, to wreszcie echami przez stulecia dźwięcząca melodia rewolucyjnej pieśni Kazimierza Delavigne:

„Oto dziś dzień krwi i chwały...!
i „Hej! kto Polak na bagnety, żyj swobodo... Dziś twój triumf albo zgon!".

To noc, którą po dziesiątkach lat wyobraźnia poety — dramaturga zaludniła postaciami greckich bogiń zwycięstwa: Nike spod Salaminy, spod Cheronei...

Oto jak gdyby jeden wyglos tej daty — emocjonalny, romantyczny. Ale ta data ma dla nas — jak już powiedzieliśmy — wielostronną wymowę. Wspomnienie powstania listopadowego mówi nam, że w najmroczniejszych chwilach narodowej nocy, nigdy — jako zbiorowość — nie rezygnowaliśmy z naszych praw do wolności, że o tę wolność zawsze gotowiśmy byli bić się do upadłego, zawsze — ilekroć nadarzyła się po temu sposobność, albo i nie.

Napad podchorążych na Belweder w nocy 29.XI.1830 r.



Pamięć nocy listopadowej przypomina nam męstwo żołnierza powstańczego, jego bezgraniczną zdolność do ofiary z życia dla świętej, tak — nie cofajmy tu tego zbyt namaszczonego słowa — świętej sprawy wolności. Słowo to zdobyło sobie prawo obywatelstwa w naszej tradycji walk wyzwoleńczych, brzmiało ono najczystszym tonem — bez fałszu w polskiej pieśni żołnierskiej przez półtora wieku. Zachowajmy tę tradycję. Zachowajmy ją tak, jak i tę, która w historycznym doświadczeniu związała na zawsze imię Polaka z pojęciem wolności. Powstanie listopadowe, wojna 1830—1831 roku — to chlubna karta sławy bojowej żołnierstwa polskiego.

„Daję tu przed Bogiem i ludźmi świadectwo prawdzie. — czytamy we współczesnych pamiętnikach Henryka Janko — że przedewszystkim żołnierze szeregowi i niższych stopni męstwem zasłużyli się Ojczyźnie: czy to idąc na wroga podwójnym krokiem, w szyku zwartym z najeżonym bagnetem i pewnością zwycięstwa w ruchu i oku: czy rażąc go ogniem rotowym, nie zważając na grad kul karabinowych..."

Jakże ta relacja przypomina inne, bliższe nam wspomnienia z przed lat siedmiu — ale to już inne echo skojarzeń.

Białołęka, Grochów, Wawer, Demby Wielkie, Iganie, Stoczek, Ostrołęka — to pomniki żołnierza polskiego, tego żołnierza, który potrafił iść miarowym krokiem, pod łoskot werbli do ataku — bez jednego wystrzału, z pustymi, niepodsypanymi prochem panewkami. Sprawa głośnych „czwartaków" — bohaterów spod Grochowa, sława jazdy Krakusów spod Ostrołęki, sława artylerzystów gen. Bema — to jedne z najwspanialszych kart wojska polskiego.

Wspomnienie powstania listopadowego uprzytamnia nam istnienie w masach ludowych polskich potężnych sił gwarantujących Polsce, że jakiekolwiek bądź zakusy z czyjejkolwiek strony na nasz niepodległy byt narodowy znajdą w tych siłach opór — w ostatecznym wyniku skuteczny.

Ale i tu też prawda o powstaniu odkrywa całą głębię jego dramatu — ba, więcej, odkrywa dno tragedii dziejowej narodu polskiego.

Powstanie dysponowało regularnym wojskiem, bohaterstwem żołnierza, pierwotnym entuzjazmem mas ludowych, miało wodzów okrytych sławą uczestnictwa w niedawnych jeszcze, wspaniałych kampaniach napoleońskich, pewne, niemałe zresztą możliwości produkcji sprzętu wojennego, a jednak upadło. Upadło po początkowych porażkach przeciwnika, po wielomiesięcznych zmaganiach, upadło, kiedy jeszcze ogólna liczba żołnierza wynosiła 60 tysięcy przeciwko 100 tysiącom wroga. W tych warunkach „upadek powstania wcale nie był jeszcze rzeczą konieczną" — stwierdza historyk, ale zapomina dodać — nie był rzeczą konieczną z punktu widzenia wojskowego...

Dlaczego więc powstanie upadło?

I otóż powstanie listopadowe w swoim wybuchu i przebiegu tak jawnie ukazało dno historycznego dramatu, że sens tego dramatu stał się wyraźny już nie tylko dla nas, zdolnych z perspektywy czasu i następnych doświadczeń na zimno analizować fakty, ale ów sens uwyraźnił się nawet współczesnym. Niechże oni sami odpowiadają nam na postawione pytanie: czemu?

„Zginęliśmy dlatego, że nie większość, ale mniejszość po wszystkie czasy była u nas narodem" — odpowiada Maurycy Mochnacki, świetny pisarz, jeden z inspiratorów, polityków i żołnierzy powstania, namiętny trybun rewolucji 1830 roku.

„Zginęliśmy dlatego, że nie większość, ale mniejszość była u nas narodem".

W kilka lat potem demokracja polska na tułactwie tak sformułowała warunek zwycięstwa i zachowania niezawisłości politycznej narodu polskiego:

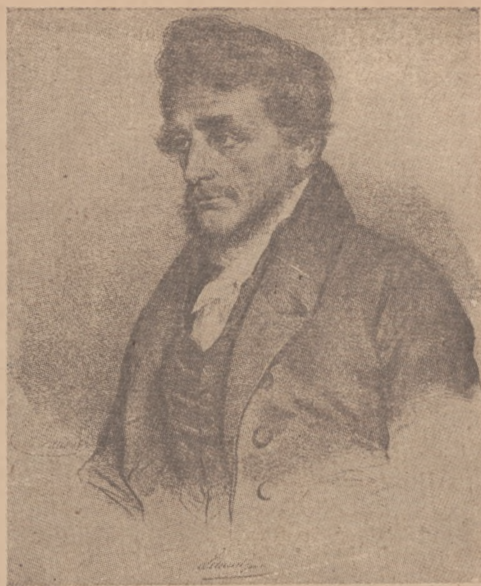
„Na dwudziestu przeszło milionach mieszkańców, narodu składających, 15 milionów jest ludem wiejskim. Taką masę raz poruszoną mógłżeby zewnętrzny nieprzyjaciel pokonać? Garstka uprzywilejowanych śmiałażby jej stawić opór? A jeżeliby stawiła, czemże byłoby to opieranie się? Lud przewagą samej masy swojej zdolny jest zniszczyć zewnętrznych wrogów, a wewnętrznych do nicości przywieść".

Więc jakże to? Powróćmy do owej nocy 29 listopada.

Wybuch powstania jako zjawisko rewolucyjne nie był czymś w Europie odosobnionym. Europę ówczesną przebiegały silne dreszcze rewolucyjne, a od czasu wstrząsu paryskiego „wszystko w Warszawie było śmielsze, zuchwalsze i nawet głośno mówiono, że rewolucja będzie, bo być musi" — stwierdza Barzykowski, historyk i członek Rządu Narodowego, świadek tamtych wydarzeń.



Piotr Wysocki



Joachim Lelewel

Owe dreszcze rewolucyjne wstrząsały mieszczaństwem, częścią drobnej szlachty i przede wszystkim tą młodzieżą, którą dziś nazwalibyśmy — inteligencją.

„Gdyby nie oficerowie subalterni, uczniowie szkół i pracowita klasa mieszkańców — stwierdza J. Zaliwski, oficer Wojska Polskiego i wybitny demokrata — rewolucja nigdyby do skutku nie przyszła".

Oni, ówcześni wyraziciele idei postępu, wywołali wybuch i narzucili powstanie narodowi. Jak się zachowała wobec insurekcji owa mniejszość, która naówczas była narodem — jak powiada Mochnacki? Wodzowie od początku byli niechętni wojnie, legaliści wobec caratu, najpierw długo stali „z bronią u nogi" — i tu znów śmiałą analogią przenieśmy się na jedną chwilę do bliższych nam wspomnień... Stali z bronią u nogi, pozwalając na ucieczkę Konstantego i wycofanie się wojsk przeciwnika. Potem z Chłopickim na czele bawili się w układy, kunktatorstwo — wyraźnie czynili wszystko, aby zlikwidować walkę. Czekali na wygaśnięcie rewolucyjnego ognia, miast w jego płomieniach usmażyć przeciwnika.

Nie wierzyli w ogóle w zwycięstwo — nie wierzyli w zwycięstwo tych sił, jakie przedstawiała sobą szlachecka „mniejszość", ludowej większości nie myśleli organizować przeciw wrogowi. Czemu? To wyjaśnił przebieg obrad sejmowych nad projektem uwłaszczenia włościan. Nie pomogły tu rzetelne argumentacje ani szlachetne wywody demokratów — Jana Olrycha Szanieckiego, Sołtyka, Grąbczewskiego, Ignacego Starzyńskiego. Na nic pasja, świetność pióra i żar wymowy Mochnackiego.

„Milion rąk podniesiemy ku obronie tej ziemi, na której milion wolnych utworzymy właścicieli — wołał Szaniecki. W tym leży dobro kraju, w tym leży honor narodu".

„Czynilibyśmy rodakom naszym krzywdę, — szlachetnie argumentował na sejmie Bonawentura Niemojowski — gdybyśmy przypuszczali do myśli, że sami pragnąc wolności, nie chcemy jej dzielić ze wszystkimi braćmi".

Jakich zresztą nie próbowano używać argumentów. Przemawiano nawet do poczucia interesu szlachty. Daremnie. Ciasny egoizm klasowy szlachty i obszarniczej arystokracji zwyciężył nad interesem ogólno-narodowym, zwyciężył jak zawsze przedtem i długo potem.

(dokończenie w następnym numerze).

Gmach Szkoły Podchorążych w Warszawie w 1830 r.



Wielki książę Konstanty ze sztabem korpusu rezerwowego gwardii.



WYBORY W STYCZNIU

Pierwszym rządem niepodległej Polski, odradzającej się na gruzach złamanej potęgi Niemiec i Austro-Węgier, był tak zwany Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej, utworzony z Ignacym Daszyńskim na czele dnia 7 listopada 1918 roku w Lublinie.

Pamiętna to i historyczna data w dziejach odradzającej się do niepodległego bytu niewolonej przez półtora wieku Ojczyzny naszej.

Rząd Ludowy w swoim manifeście stanął na stanowisku republiki ludowej i uchwalił zwołanie Sejmu Ustawodawczego na podstawie powszechnego, równego, tajnego i bezpośredniego głosowania, ogłaszając jednocześnie wszelkie swobody polityczne i obywatelskie dla wszystkich obywateli. Prócz tego postanowił przejąć na rzecz państwa majątki majorackie, upaństwowić lasy, ustanowić 8-godzinny dzień pracy, wprowadzić samorząd oraz wypracować ustawy: o przymusowym wywłaszczeniu wielkiej i średniej własności, o upaństwowieniu kopalń, przemysłu naftowego i kolei, a także o konfiskacie majątków wojennych, zdobytych przez wyzysk.



Ignacy Daszyński, pierwszy marszałek Sejmu. Zdjęcie z okresu jego początkowej działalności politycznej.

Aczkolwiek istnienie Rządu Ludowego w Lublinie było bardzo krótkie, jednak zaważyło na szali dalszych losów Polski, ponieważ osiągnięcia i zamierzenia jego nadały ton i kierunek, utwalając się nawet częściowo w uchwalonej konstytucji z 17 marca 1921 roku, którą dopiero później sanacja zaczęła naginać i zmieniać, dostosowując ją do zamierzeń dyktatorskich Piłsudskiego.

Sejm Ustawodawczy

Wybory do Sejmu Ustawodawczego odbyły się dnia 26 stycznia 1919 roku.

Ożywiony ruch przed gmachem Romy podczas otwarcia XI sesji KRN



Układ sił politycznych w Sejmie Ustawodawczym przedstawiał się następująco: PSL „Wyzwolenie" — 58 mandatów, PSL „Piast" — 41 mandatów, PPS — 34 mandaty, PSL lewica (Stapiński) — 12 mandatów, Radykalne Stronnictwo Chłopskie— 2 mandaty.

Na prawicy główną rolę odegrywał Związek Ludowo-Narodowy, licząc 109 posłów, dzięki czemu przeforsował swego kandydata Wojciecha Trąmpczyńskiego na marszałka Sejmu Ustawodawczego.

Lata pierwszego Sejmu Ustawodawczego były okresem próby sił pomiędzy stronnictwami demokratycznymi w walce o prawa dla ludzi pracy i o istotną treść demokracji. Pomimo wszelkich przeszkód ze strony wstecznictwa, partie robotnicze i chłopskie dały Polsce demokratyczną konstytucję marcową, zniekształconą i złamaną później przez reakcję w roku 1926 i 1935.

Sejm i Senat (1922—1927)

Wybory odbyły się dnia 5 listopada do Sejmu i dnia 12 listopada 1922 do Senatu. Uprawnionych do głosowania było przeszło 13 milionów, z czego głosowało około 9 milionów, tj. 68%.

Na pierwsze miejsce pod względem ilości głosów wysunął się blok, złożony ze Związku Ludowo - Narodowego, Stronnictwa Chrześcijańsko-Narodowego i Chrześcijańskiej Demokracji, otrzymując przeszło 2 i pół miliona głosów. Drugie miejsce zajął blok mniejszości narodowych (1.397.328 głosów) i dalej kolejno: PSL „Piast" (1.132.962), PSL „Wyzwolenie" (959.023), PPS (894.163), NPR (472.737) i Klub Katolicko-Ludowy (225.170). Jeden poseł do Sejmu wypadał na 18.860 wyborców, jeden senator na 50.000 wyborców.

Zestawienie główniejszych Klubów stosownie do ilości otrzymanych mandatów przedstawiało się następująco:

(Liczby podane dotyczą roku 1922, w nawiasie zaś końca 1927 r. po zaszłych rozłamach i przesunięciach):

Związek Ludowo-Narodowy — 98 (100), PSL „Piast" — 70 (53), PSL „Wyzwolenie"—48 (25), Chrześcijańska Demokracja— 44 (41), PPS — 41 (41), Koło żydowskie — 34 (34), Stronnictwo Chłopskie — (30), Klub Chrześcijańsko-Narodowy — 27 (19), NPR — 18 (16), Klub Niemiecki — 17 (17), Klub Białoruski — 11 (4).

Jak widać z zestawienia układ sił w Sejmie nie odpowiadał rzeczywistym siłom społecznym w terenie. Szerokie masy narodu coraz bardziej zostawały odsuwane od decydującego wpływu na losy państwa. Polska wchodzić poczęła na drogę katastrofy politycznej i upadku.

Sejm i Senat (1928—1930)

Po przewrocie majowym sesje parlamentarne zwoływane były dość rzadko. Oczekując na rozwiązanie Sejmu i Senatu i rozpisanie nowych wyborów, rząd Piłsudskiego przystąpił do utworzenia własnej partii, tak zwanego Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem, słynnego BBWR.

Wybory były rozpisane na dzień 4 marca do Sejmu i 11 marca 1928 do Senatu. Uprawnionych do głosowania było 14.970.394, a głosowało 11.728.360, tj. 78,3%.

Wyniki wyborów były następujące:

Przysłowiowa „jedynka" czyli rządowy BBWR otrzymał 2.399.032 głosy i 125 mandatów, PPS otrzymał 1.481.279 i 64 mandaty, PSL „Wyzwolenie" — 834.448 głosów i 40 mandatów, Stronnictwo Chłopskie — 618.503 i 26 mandatów, Jedność Robotniczo-Chłopska — 217.298 głosów i 7 mandatów, lista katolicko-ludowa głosów 925.744 i 44 mandaty, PSL „Piast" i Chrześcijańska Demokracja łącznie 770.891 głosów i 33 mandaty („Piast" 22 i chadecy— 11). Mniejszości narodowe otrzymały około 80 mandatów.

Na pierwsze miejsce wysunęło się wzrastające stale w znaczenie i wpływy PPS. Nowoobranym marszałkiem Sejmu został wybrany Ignacy Daszyński.

W trzecim Sejmie wobec rozpoczynającej się coraz ostrzejszej walki z rządami Piłsudskiego nastąpiła koncentracja lewicy z centrum. Utworzony został z PPS na czele tak zwany Centrolew, który na kongresie swoim w Krakowie uchwalił rezolucję, piętnującą rządy dyktatorskie, łamanie konstytucji i prawa oraz żądającą ustąpienia prezydenta Mościckiego.

Wobec powyższego dnia 1 września 1930 roku prezydent Mościcki rozwiązał Sejm i w kilka dni potem nastąpiły znane aresztowania i osadzenie wybitnych działaczy Centrolewu w Brześciu.

• •

Wybory w roku 1930 dzięki terrorowi, gwałtom i przekupstwu wzmocniły jeszcze bardziej obóz rządzącej dyktatury. Konstytucja marcowa została przekreślona i uchwalona nowa w roku 1935. Wreszcie wybory w roku 1935 i 1938, przeprowadzone przy antydemokratycznej ordynacji wyborczej, zostały zbojkotowane przez stronnictwa demokratyczne.

Rządy bezwzględnej dyktatury doprowadziły Polskę do katastrofy.

W Polsce wyzwolonej spod okupacji rolę parlamentu spełniała Krajowa Rada Narodowa wyłoniona przez stronnictwa demokratyczne w konspiracji. KRN powołała pierwszą władzę państwową — Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego — i uchwaliła szereg najdonioślejszych aktów państwowych, mających dla kraju zasadnicze znaczenie. Należy do nich ustawa o reformie rolnej, o nacjonalizacji wielkiego i średniego przemysłu oraz o Planie Gospodarczym. Spełniwszy swą rolę historyczną, KRN kończy swe prace, gdyż w styczniu 1947 r. w drodze wyborów zostanie powołany normalny Sejm Ustawodawczy.

R. K.



Marszałek Piłsudski i premier Ignacy Paderewski udają się w 1919 r. sprzed Belwederu do gmachu Sejmu przy ul. Wiejskiej na pierwszą sesję sejmową.

SPOŁEM INTERWENIUJE NA RYNKU JAJCZARSKIM

Społem rzuca na rynek 16 milionów jaj, które zakupione zostały latem i zakonserwowane w basenach. 10 milionów jaj będzie oddane do dyspozycji Funduszu Aprowizacyjnego, który przekaże je zakładom pracy. 6 milionów jaj otrzymają spółdzielnie do rozsprzedaży pomiędzy ludność, przy czym cena nie przekroczy 15 zł. Dalsze 4 miliony sztuk „Społem" rezerwuje na eksport.

Prześwietlanie i sortowanie jaj w magazynach „Społem".



Pracownicy „Społem" ładują skrzynie z jajami, które niebawem ukażą się na rynku.



Kilimandżaro

NA SZCZYCIE KIBO I WŚRÓD LUDU BOCIANÓW

O/o tytuł reportażu z pierwszej po wojnie wyprawy wysokogórskiej polskiego alpinisty inż. Wiktora Ostrowskiego, — czytajcie następny numer „Tygodnia".

Kilimandżaro — to najwyższy masyw wulkaniczny w Afryce północno-wschodniej, w okolicach jeziora Wiktorii zwanego też przez tubylców Ukerewe. Kilimandżaro ma dwa szczyty: Kibo czyli „jasny", nazwany tak z powodu swej szaty śnieżnej i lodowej, dosięgający 6010 metrów wysokości, i Mawenzi czyli „ciemny", wznoszący się na 5355 metrów. Kibo jest najwyższym szczytem Afryki. Jego krater ma 2 kilometry obwodu i 200 metrów głębokości.



Pasterz z plemienia Masai, który w tej charakterystycznej pozie może stać godzinami pilnując trzody.

Inżynier Wiktor Ostrowski jest trzecim z kolei Polakiem, który wstąpił na szczyt Kibo. Przed nim wyprawiali się tu: prof. Antoni Jakubski w r. 1914 i Jerzy Golcz w r. 1944. Prof. Jakubski był wogóle szóstym człowiekiem na Kilimandżaro.

Wiktor Ostrowski zdobył Kibo dn. 27 października 1945 roku w towarzystwie angielskiego korespondenta p. A. W. Parsonsa. Ostrowski jest znanym alpinistą i podróżnikiem, członkiem Polskiego Klubu Wysokogórskiego. Już przedtem badał Andy Argentyńskie i masyw Centralnego Kaukazu.

W okolicach Kilimandżaro mieszka lud Masajów — wysokorosły, o skórze ciemnobrązowej, zwany ludem bocianów, albowiem pasterze jego umieją godzinami stać na jednej nodze, pilnując swych stad. Wojownicy Masajów żywią się surowym mięsem, krwią i mlekiem, aby w walkach z nieprzyjacielem być silni jak dzikie zwierzęta. Nikt na świecie nie jest tak jak oni wytrzymały na ból...

Inżynier Ostrowski, który obecnie we Włoszech pracuje nad książką o swych wyprawach na Kilimandżaro i w kraj Masajów, napisał specjalnie dla „Tygodnia" szereg reportaży, bogato ilustrowanych. W najbliższym numerze rozpoczynamy druk cyklu p.t. „Na lodowcach Kilimandżaro", poczem ukaże się następny p. t. „Masai". Honorarium autorskie, zgodnie z poleceniem inż. Ostrowskiego, przekazaliśmy na Związek Harcerstwa Polskiego.



inż. Wiktor Ostrowski zdobywca szczytu Kibo na Kilimandżaro.

ROZSTRZYGNIĘCIE I-GO KONKURSU TYGODNIA NA REBUSY

(Druga lista osób nagrodzonych)

Pomimo, że początkowo Redakcja zadeklarowała 10 prenumerat kwartalnych „Tygodnia", a (oprócz wyżej wymienionych) — prawidłowe rozwiązanie nadesłało 16 osób — postanowiono wszystkim szesnastu przyznać kwartalną prenumeratę, którą otrzymały następujące osoby:

P. dr. Ginelli Jerzy — Gniezno, Park Kościuszki 5.

P. Czernic Hanna — Łódź, ul. Nawrot 4.

P. Zgórecki Marian Wł. — Warszawa, ul. Mickiewicza 27 m. 128.

P. Baranowicz Franciszek — Konin, ul. Żwirki i Wigury 11.

S. M. Cydonia Służ. Marii — Szpital Zakaźny Dalki p. Gniezno.

P. Żak Józef — Wieliczka, ul. Mickiewicza 16 m. 1.

P. Stankiewicz Apolinary — Wrocław, Narodowy Bank Polski.

P. Zwolski Zygmunt — Pabianice, ul. Żelazna 15.

P. Lubnaar Władysław — Zgierz, ul. Szczęśliwa 1.

P. Stec Marta — Wieliczka, ul. Konopnickiej 30.

P.Giżewski Dionizy — Gniezno, Park Kościuszki 6 m. 2.

P. Ptasiewiczowa Olga — Opole, ul. Kropidły 2.

P. Szymańska Irena — Łódź, ul. Piotrkowska 142 m. 9.

P. Tuzowa Stanisława — Zalesie p-ta Piaseczno, Al. Kasztanów 11.

P. Suchodolski Włodzimierz — Warszawa, ul. Czerniakowska 126-a m. 37.

P. mgr. Wojnar Tadeusz — Cieszyn, ul. Jordana 5.

Po 33 punkty, a więc rozwiązując tylko 9 rebusów — osiągnęły następujące osoby:

P. Pastuszyńska Franciszka — Kudowa Zdrój, p. Kładzko, ul. Stalina 24.

P. Wilkiewiczowa I. — Rybnik, ul. Niska 8.

P. Osłowska Marieta — U. P. Katowice I Kasa Główna.

P. Fiuk Maurycy — Szczecin, ul. Kard. Hosjusza 10/12.

P. Inż. Pieniążek Zbigniew — Kraków, Al. Słowackiego 32/3.

P. Mozdyniewicz Mirosław — Pleszew, ul. Wojciecha 3.

P. Bielenia Jerzy — Kraków, ul. Zyblikiewicza 1.

P. Korczewska Irena — Milanówek k/Warszawy, ul. Podwiejska 9.

P. Korzeniewska Maria — Rokicie Stare, ul. Anny 11.

P. Wojciechowski Ireneusz — Łódź, ul. Bednarska 26 m. 38.

P. Marzec Lucjan — Skarżysko Kamienna, ul. Podjazdowa 2.

P. Ukłański Marian — Pabianice, ul. Odrodzenia 13—3.

P. Schnierstein Kazimierz — Lublin, ul. Weteranów 6 m. 2.

P. Kopczyński Witold — Ostrów Wilkp., ul. Osiedle Robotnicze 34/3.

P. Gąsinowski Aleksander — Warszawa, ul. Grażyny 13. „Społem".

P. Szymkiewicz Mieczysław — Skarżysko-Kamienna, ul. Kościuszki 11—3.

P. Szczudłowski Tadeusz — Lublin, ul. Gliniana 22/3.

P. Brauman Halina — Gorlice, Spółdzielnia „Sierp".

P. Kijowski Władysław — Słupsk, ul. Brzozowa 20.

P. Strzałek Lucjan — Bukowiec, p-ta Kowary, pow. Jelenia Góra.

P. Popławska Zofia — Wołomin, kol. Kurp.

P. Niemcowa Dorota — Bielsko, ul. Zielona 10 m. 4.

P. Kołakowski Jan — Wejherowo, ul. Hallera 12.

P. Rudkowski Lech — Bydgoszcz, ul. Paderewskiego 16-8.

P. Biernacki Zdzisław — Częstochowa, ul. Mickiewicza 40.

P. Rybczyńska Irena — Lublin, ul. Narutowicza 25 m. 15.

P. Pudełek Janina — Warszawa, Al. 3-go Maja 2 m. 42.

Pp. Melbechowskie Jadwiga i Emilia— Bydgoszcz, ul. Rycerska 22/2.

P. Czyszkowska Zofia — Warszawa, ul. Słowackiego 25 m. 6.

P. Tyblewski Wacław — Szprotawa (D. Śląsk), ul. Kościuszki 19A.

P. Mieszałówna Maria — Mińsk Mazowiecki, ul. Spółdzielcza 7-a.

P. Żłobińska Anna — Mińsk Mazowiecki — Oddział „Społem".

P. Nowicki Witold — Warszawa, Dyr. Wod. i Kanalizacji.

P. Wilkiewicz Irena — Rybnik, ul. Niska 8.

P. dr. Kaszubski Stanisław — Otwock, ul. Żeromskiego 4.

PREMIA DLA PRENUMERATORÓW

Od 1.I.1947 r. prenumerata miesięczna wynosić będzie 40 zł, a kwartalna 120 zł.

Czytelnicy, którzy obecnie wpłacą prenumeratę z góry na konto PKO Łódź VII — 4321 przynajmniej za kwartał, otrzymywać będą „Tydzień" bezpłatnie od daty wpłaty do N. Roku. Wniesiona opłata za kwartał będzie liczona dopiero od 1-go stycznia 1947 roku.

P. Głowacki Stanisław — Łódź, ul. Jaracza 36—b.m. 2.

P. Langner Edwarda — Łańcut, ul. Legionów 4.

P. Skurczyński Piotr — Częstochowa, Al. Wolności 11—53.

P. Januńska Maria — Węgrów, ul. Rucińska 32.

P. Gorodecki E. — Częstochowa, II Aleja 18.

P. Deny Bronisław Jan — Katowice, ul. Drzymały 4.

P. Kotzur Witold — Poznań, ul. Niegolewskich 8.

P. Kolasa Janina — Kalwaria Zebrzydowska, ul. Mickiewicza 14.

P. Kowallek Brunon — Chełmża, ul. Kolejowa 44.

P. Golnikówna Irena — Częstochowa, ul. Wieluńska 15.

P. Miszczak Marian — Częstochowa, ul. 1 Maja 40.

P. Wonsala Kazimierz — Łódź, ul. Łąkowa 10 m. 8.

P. Kuskowska Józefa — Warszawa-Praga, ul. Florjańska 12— 20.

Pozostali uczestnicy osiągnęli mniejszą ilość punktów.

P. Tuzowa Stanisława z Zalesia, która rozwiązała wszystkie rebusy nadesłała nam następujący dowcipny wierszyk:

„Już dziesięć tygodni gryzę rebusy
I nie śpię i nie jem i chudnę,
Przeróżne bywały i długie i kuse
A wszystkie ciekawe i trudne.
Dziś pytam, co dalej, dalej co będzie —
Tu moje zasępia się czoło —
Gdzie głowy łamania nowe narzędzie?
Bo pustkę odczuwam wokoło.
Czy znowu mam utyć, stracić powaby?
I znowu w niezgodzie być z modą?
Więc próżnię w mym życiu zatkać trzebaby
Najlepiej pierwszą nagrodą".

Niestety, szczęście nie dopisało w losowaniu, ale życzymy powodzenia w następnym konkursie. Ażeby mogła Pani zachować „powaby" ilość zadań powiększymy.

WIADOMOŚCI SPORTOWE

MISTRZOSTWA PIŁKARSKIE POLSKI dobiegają końca. Ostatnie dwa mecze rozegrane w Łodzi i w Warszawie cieszyły się niesłabnącym zainteresowaniem publiczności, która tym razem wybrała się na boiska piłkarskie pokryte śniegiem, a w Łodzi w czasie przerwy zabawiano się grą w śnieżki. Mecz Polonii z Wartą zakończył się tym razem wynikiem remisowym 2:2. Poprzedni mecz grany w Poznaniu przyniósł zwycięstwo Warcie 2:1. Mecz warszawski obfitował w szereg niespodzianek. Do przerwy ustalił się wynik remisowy, a o wyniku 2:2 zadecydowały ostatnie minuty gry. Prowadziła Warta strzelając przez Podeszwę i Gendere dwie bramki. Wyrównał najlepszy gracz Polonii Szularz. Mecz sędziował p. Kowalski Zygmunt. W drugim meczu zwycięstwo odnieśli piłkarze ŁKS bijąc zdecydowanie zespół AKS ze Śląska 4:2 (2:2. I ten mecz był interesujący. Łodzianie zajmując dotychczas ostatnie miejsce w tabeli wywindowali się na trzecią pozycję. Bramki dla ŁKS zdobyli Sidor 2 i Hogendorf 2, a dla AKS Barański i Piątek. Sędziował p. Szperling. Publiczności przeszło 7 tysięcy. Polonia ma już prawie zdobyte mistrzostwo. Prowadzi ona 7 pkt. przed Wartą, która ma 6 pkt., ŁKS 4 pkt. i AKS 3 pkt. Warta rozegrała już wszystkie swoje mecze. Polonia natomiast spotka się jeszcze w spotkaniu rewanżowym z AKS w dniu 1 grudnia w Warszawie, a ŁKS w niedzielę 24 bm. grać będzie na Śląsku z AKS.

BOKSERZY całej Polski, przed wyjazdem do Sztokholmu na mecz Polska — Szwecja, który ma się odbyć 15 grudnia, rozpoczną niebawem drużynowe mistrzostwa Polski. Najwięcej szans mieć powinny drużyny: ŁKS, Batory, Grochów, względnie Warta poznańska. Pięściarze Zrywu łódzkiego wybierają się na Węgry. Zespół Zrywu uda się do Budapesztu pod kierownictwem prezesa Lemparta i trenera Tomasza Konarzewskiego. Przed wyjazdem do Sztokholmu odbędzie się 10-dniowy obóz kondycyjny dla następujących zawodników, którzy mają wejść do reprezentacji Polski: Grzywocza, Janowczyka, Antkiewicza, Sowińskiego, Olejnika, Kolczyńskiego, Szymury i Klimeckiego.

TYDZIEŃ PROPAGANDY AZS został zakończony w Łodzi. W ramach tygodnia odbył się mecz pływacki między AZS łódzkim, a warszawskim zakończony zwycięstwem Łodzi. Natomiast w turnieju gier sportowych w piłce siatkowej zwycięstwo odniosła Warszawa bijąc Łódź 2:1, i Kraków 2:0. W piłce koszykowej Warszawa pokonała Łódź 53:27 (19:14).

HOKEIŚCI ŁODZI rozpoczęli przygotowania techniczne przed mającymi się odbyć w styczniu 1947 r. mistrzostwami Polski. W Łodzi doprowadza się do końca budowę trybun w Parku Kultury Fizycznej w Helenowie, a na boisku ŁKS tworzą się obok istniejących trybun siedzących — miejsca stojące na specjalnej trybunie bez dachu. Mistrzostwa odbywać się będą prawdopodobnie na obu boiskach jednocześnie, z tym, że finały odbędą się w Helenowie.

J. N.

OFIARY ZBRODNI NIEMIECKICH W RADOGOSZCZU



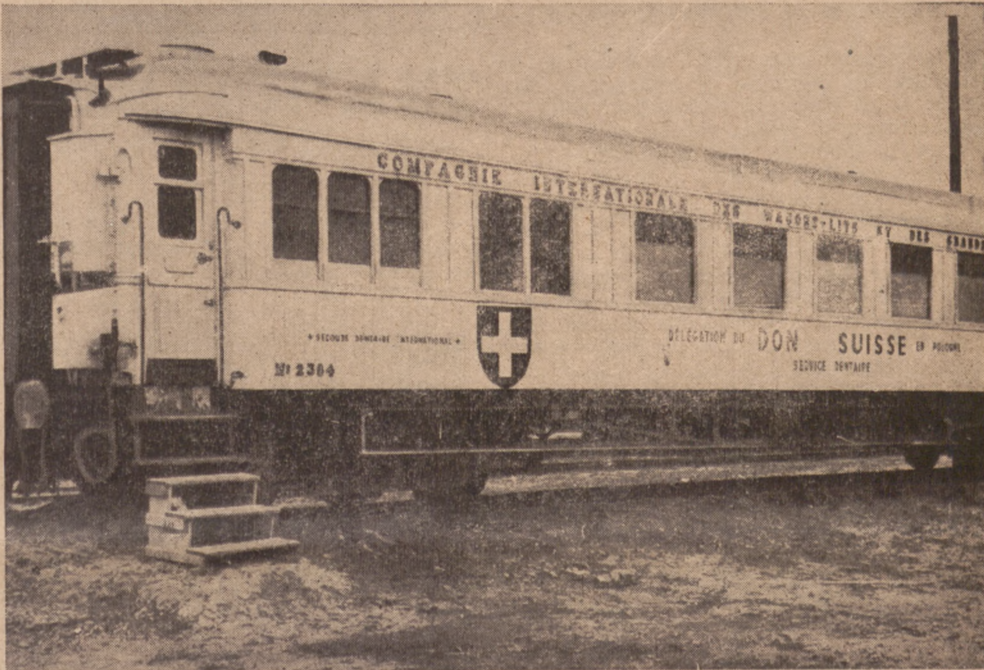
Poczty sztandarowe i ludność cywilna przed mogiłą 35 zamordowanych przez Niemców.
(fot. J. Płażewski)

Wielką manifestację uczuć społeczeństwa łódzkiego stał się pogrzeb 35 bojownków walki podziemnej, rozstrzelanych zimą 1944 r. na tzw. Dołach. 35 bezimiennych mogił powiększyło cmentarz na Radogoszczu, na którym spoczywają również szczątki spalonych żywcem ofiar pobliskiej fabryki. Cień pamiętnych dni okupacji niemieckiej, jeszcze jedna ujawniona zbrodnia gestapowskich oprawców splata się z falą bezczelnych ataków „demokratycznych" Niemców na nasze granice zachodnie. Protektorzy naszych sąsiadów z zachodu nie chcą nic słyszeć o 35 nowych trumnach z Radogoszcza. Bliższe im jest właśnie „Deutschland kann nicht hungern!" — „Niemcy nie mogą głodować!".



Grupa amerykańskich filmowców podczas nakręcania filmu o Warszawie.
(S. A. P.)

DAR SZWAJCARII DLA POLSKI



W darze od Szwajcarii otrzymaliśmy luksusowy wagon z najnowocześniejszymi środkami dentystycznymi.
(Film Polski)



Mimo dżdżystej pogody eleganckie Warszawianki myślą o ciepłych kapcach. Na ulicach miasta spotyka się często górali, niosących całe naręcze tak pożądanego „towaru".

PREZYDENT TRUMAN PRZY URNIE WYBORCZEJ



Prezydent Truman wraz z córką składają swoje głosy podczas wyborów.
(Daily Telegraph)

OBŁAWA NA MONTMARTRZE

Dzielnica Montmartre jest zawsze siedliskiem różnych mętów Paryża, toteż policja francuska często czyni obławy w tej części miasta.



I. KONKURS FRYZJERSKI

Na zakończenie dwudniowych obrad pierwszego po wojnie ogólnopolskiego zjazdu Związku Fryzjerów odbył się konkurs na najefektowniejsze uczesanie. Szczególne zainteresowanie obudził konkurs u przedstawicielek płci pięknej, które głośnymi, acz nie zawsze umiarkowanymi wypowiedziami dopingowały uczestników konkursu. Na zdjęciu: jeden z zawodników przy pracy.

Konkurs fryzjerski w Łodzi wywołał wielkie zainteresowanie wśród pań, niestety szczupła sala nie mogła pomieścić zainteresowanych najmodniejszymi fryzurami.
(fot. J. Płażewski)





Największy okręt brytyjski „Queen Elizabeth" o pojemności 83673 tony, który odwiózł delegatów na posiedzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych, powrócił do Anglii. Królowa angielska wraz z córkami: Elżbietą i Małgorzatą w towarzystwie kapitana okrętu James'a Bisset'a zwiedziła okręt. Przy tej okazji królowa Elżbieta sterowała jakiś czas okrętem.
(Illustrated London News)

Od administracji:
Prosimy o odnowienie prenumeraty na m-c Grudzień b. r.

NOWY SEZON

W PAŃSTWOWYM TEATRZE POLSKIM

Państwowy Teatr Polski w Warszawie jest teatrem repertuarowym. Co to znaczy? Wydawało by się, że chyba każdy teatr jest „repertuarowym". Tak nie jest. Bo nie każdy może nim być w sensie terminologii teatralnej, chociażby ze względów czysto technicznych. Teatr repertuarowy gra w tygodniu kilka sztuk na zmianę, zachowując kostiumy, dekoracje i rekwizyty na stałe w swych magazynach po to, aby w następnych sezonach wznowić te same sztuki, w tej samej oprawie scenicznej.

W tym sezonie wznawia więc Teatr Polski naprzód wszystkie sztuki z ubiegłego sezonu. W „Lilli Wenedzie" nastąpiły częściowo zmiany w obsadzie. Trudną, skomplikowaną w charakterze i typie rolę Ślaza gra Janusz Strachocki, po Osterwie. Strachocki stworzył postać w odmiennej niż Osterwa koncepcji, lecz równie przemyślaną i artystycznie pogłębioną. Św. Gwalberta gra Edward Szypulak-Gliński zamiast St. Grolickiego.

Dotychczasowy zespół Teatru Polskiego został powiększony i liczy 22 aktorki i 30 aktorów. Repertuar nowego sezonu przedstawia się interesująco, chociaż, jak każdy repertuar, budzi pewne zastrzeżenia. Słuszne czy niesłuszne? O tym później.

A więc pierwsza premiera w końcu października na otwarcie „prawdziwego sezonu": L. H. Morstina „Penelopa", Homerowski temat, a jakże współczesny! Kraków zna „Penelopę", Warszawa jeszcze nie. Ale ma w pamięci świetną „Obronę Ksantypy". Tym ciekawsza jest „Penelopa". Oprawa sceniczna Z. Węgierkowej, reżyseria M. Wyrzykowskiego.

Następne premiera poniekąd rewelacyjna: będzie nią niegrana w Polsce od 150 lat Wojciecha Bogusławskiego „Szkoła obmowy" — transponowana na grunt warszawski komedia Sheridana, całkowicie spolszczona. Satyra pełna wdzięku osiemnastowiecznego — na plotkarstwo i zakłamanie, dzisiaj równie aktualne, jak wówczas. W reżyserii, dekoracjach i kostiumach K. Frycza, który, jak wiadomo, jest znakomitym znawcą tej epoki.

Trzecia premiera powinna wysunąć Teatr Polski na czołowe miejsce wśród teatrów całej Polski: „Oresteja". Tragedię Ajschylosa można wystawić tylko na najwyższym poziomie, inaczej nie wolno. Obsadzenie każdej roli ,nawet najmniejszej musi być głęboko przemyślane. Tragedia grecka wymaga największego napięcia emocjonalnego, skupienia ducha, ruchu, rytmu, gestu, monumentalności i harmonii, całkowitego zespolenia wszystkich elementów scenicznych. Trudne zadanie dla reżysera, dekoratora-scenografa i aktorów. „Oresteja" (grana przed wojną w Wilnie) ukaże się w przekładzie prof. Srebrnego, w reżyserii dyr. A. Szyfmana, w oprawie scenicznej Wacława Borowskiego, który w ostatnich okresach swej twórczości żył się ze światem antycznym. Czuje epokę i rozumie ją, i dlatego jest poniekąd predystynowany do tego zadania.

Ambicje dyr. Szyfmana sięgają więc wysoko. Będzie to wielkie wydarzenie w historii Teatru Polskiego, o doniosłym znaczeniu wychowawczym dla najszerszych warstw publiczności. Zapozna ją z tragedią grecką, zaprowadzi do źródeł sztuki i kultury.

W dalszym ciągu sezonu pójdą Aleksandra Nikołajewicza Ostrowskiego „Wilki i owce" lub „Szalone pieniądze" w przekładzie J. Tuwima, wreszcie „Hamlet" (w ramach Festiwalu Szekspirowskiego), w przekładzie J. Iwaszkiewicza i reżyserii dyr. Szyfmana.

Na zakończenie sezonu projektowane były „Dwa Teatry" J. Szaniawskiego w reżyserii J. Strachockiego. Teatry Miejskie ubiegły Teatr Polski i wystawią niebawem tę sztukę. Wobec tego ostatnia pozycja będzie musiała ulec zmianie i ustąpić miejsca innej sztuce współczesnej.

Tyle się mówi o planowaniu, o uzgadnianiu polityki repertuarowej w całej Polsce, a okazuje się, że nawet w stolicy nie można jej uzgodnić. Szkoda. Bo przecież do najważniejszych zadań należy upowszechnianie kultury teatralnej. To powinno się dziać celowo, na podstawie wszechstronnie rozpatrzonego repertuaru, dostosowanego do możliwości artystycznych i technicznych danego teatru.

Tak więc repertuar Państwowego Teatru Polskiego w bieżącym sezonie jest z różnych względów interesujący. To trzeba obiektywnie przyznać. Ajschylos i Szekspir, więc szczyty sztuki teatralnej; Bogusławski, więc tradycja poniekąd klasyczna; znakomity dramaturg rosyjski Ostrowski; wreszcie dwie sztuki współczesnych autorów. Przekrój wieków. Od antyku do współczesności. A jednak zastrzeżenia? Więc jakie? Brak wśród wymienionych pozycji sztuki z wielkiego polskiego repertuaru? W zeszłym sezonie była „Lilla Weneda", w tym miało pójść „Wesele". Wybór trafny, bo przecież młodzież, która dorastała w czasie okupacji, nie widziała w ogóle Wyspiańskiego na scenie. A i starsi chętnieby raz jeszcze weszli w krąg czaru i uroku „Wesela". Teatr Polski wystawiłby „Wesele" niewątpliwie świetnie, bo ma w tej chwili odpowiedni zespół. Szkoda.

Na zebraniu prasowym zwołanym przez dyrekcję Teatru w dyskusji nad repertuarem dwie panie zaatakowały dyr. Szyfmana, że nie wystawia sztuk współczesnych. Zarzut wydawał się na pozór słuszny, chociaż i Morstin i Szaniawski należą do współczesnych autorów. Nie o to jednak szło. Obie panie domagały się sztuk współczesnych w sensie problematyki społecznej dnia dzisiejszego. Dlaczego Teatr Polski nie uwzględnił w swym repertuarze takich właśnie sztuk. Słusznie. Dlaczego? Argumenty dyr. Szyfmana w odpowiedzi na zarzuty brzmiały przekonywująco: Państwowy Teatr Polski gotów jest każdej chwili wystawić sztukę współczesną, może jednak wystawiać tylko sztuki dobre, bo nie jest teatrem eksperymentalnym. Jako państwowy teatr musi mieć najwyższe ambicje artystyczne i musi liczyć się z zadaniem wychowawczym. Musi trzymać się swej linii. Tym się też tłumaczy — nawiasem mówiąc — względnie niewielka ilość premier. Aby należycie przygotować sztukę, potrzeba dwumiesięcznych prób, do „Orestei" czy „Hamleta" niewątpliwie więcej. Wreszcie i o tym trzeba pamiętać, że sprawa repertuaru ściśle jest związana ze sprawą zespołu. Dla debiutów autorskich, dla sztuk młodych autorów, którym bezwzględnie powinno się umożliwić „dojście do głosu", powinna istnieć scena kameralna, eksperymentalna. Teatr Polski nie może nią być. Toby spaczyło jego linię. Czyżby wobec tego nie należało stworzyć przy Państwowym Teatrze Polskim takiej sceny? Podobno jest w projekcie. Byłoby to bardzo pożyteczne i interesujące dla autorów, dla teatru i dla publiczności.

Aleksander Guttry

WIECZORY AUTORSKIE W KLUBIE LITERATÓW

Wydział Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego w Łodzi w porozumieniu z Klubem Literatów Z.Z.L.P. Oddział Łódzki organizuje wieczory autorskie, w najbliższy poniedziałek dn. 25 b.m. odbędzie się wieczór autorski Ryszarda Matuszewskiego i Pawła Hertza, a w dniu 27 b. m. wieczór piosenki i humoru p. n. „Dyliżans".

TEATR POLSKI W POZNANIU

Teatr Polski w Poznaniu pod dyr. Władysława Stomy otworzył nowy sezon 1946/47 komedią Józefa Korzeniowskiego: „Majątek albo imię". W rolach głównych występują: Hanna Skarżanka, Janina Marisówna, Antonina Podgórska, Eugenia Podborówna, Jerzy Rakowiecki, Janusz Warmiński, Tadeusz Chmielewski i Aleksander Dzwonkowski.

Tak jak w ubiegłym sezonie w Warszawie — sztuka Korzeniowskiego cieszy się wielkim powodzeniem.



Scena z IV aktu „Majątek albo imię". Na zdjęciu: Hanna Skarżanka w roli Anieli Bydgoskiej i Eugenia Podborówna w roli hrabiny Reginy.

25-LECIE KWARTETU SMYCZKOWEGO



Polski Kwartet Smyczkowy rozpoczął swą działalność w jesieni 1920/21 r. i w ciągu ćwierćwiecza zdobył sobie duży rozgłos poza Poznaniem w szeregu innych miast jak: Warszawa, Lublin, Kraków, Lwów, Bydgoszcz, Toruń i Gdańsk. W bogatym repertuarze Polskiego Kwartetu Smyczkowego przewinęły się przez estradę koncertową liczne utwory literatury kwartetowej i to zarówno: klasycznej, romantycznej i współczesnej. Słyszeliśmy więc kwartety: Haydna, Debussy'go, Ravela; rosyjskich kompozytorów: Czajkowskiego, Głazunowa, Borodina, czeskich: Smetany i Dworzaka oraz polskich: Statkowskiego, Szymanowskiego, Jareckiego, Paderewskiego, Maliszewskiego i Szałkowskiego.

W skład kwartetu wchodzą: Zdzisław Jahnke (I skrzypce), Ludwik Kwaśnik (II skrzypce), Tadeusz Szulc (altówka) i Dezyderiusz Danczowski (wiolonczela).

Rzadko się zdarza, ażeby jakiś zespół muzyczny obchodził 25-letni jubileusz, z tym większą więc przyjemnością życzymy sympatycznemu zespołowi dalszych sukcesów na niwie muzycznej.

KRONIKA KULTURALNA

MARIA DĄBROWSKA w numerze 7-mym dwutygodnika „Warszawa" ogłosiła artykuł pt. „Obrona Kochanowskiego". Jest to odpowiedź na opublikowaną w swoim czasie przez p. Jana Aleksandra Króla we „Wsi" rozprawkę pt. „Przeciw ziemiańskiej tradycji", zawierająca „ostre potępienie twórczości Jana Kochanowskiego jako tej, która jest typowym przykładem złych tradycyj szlachetczyzny, tuczącej się potem ludu pańszczyźnianego". Co więcej: p. Król uważa poezje Kochanowskiego „za bezwartościowy rekwizyt klasowej poezji ziemiańskiej, który należy wyrzucić jako śmiecie zbędne dla literackiej kultury wsi". Dąbrowska w sposób prosty udowadnia, że poglądy p. Króla opierają się nie tylko na nieporozumieniach, ale i na zupełnej ignorancji.. Istotnie. Gdyby na przykład w Związku Radzieckim rozumowano podobnie jak p. Król, wyrzuconoby na śmiecie z literatury rosyjskiej i Puszkina, i Turgieniewa, i Tołstoja, którzy nie tylko czerpali swe tematy z życia „pomieszczyków" ale i sami byli „pomieszczykami" i arystokratami. Tymczasem ci pisarze rozchodzą się w Związku Radzieckim w milionowych nakładach. Gdybyśmy w Polsce chcieli wszyscy rozumować jak p. Król, moglibyśmy dojść do wniosku, że nawet niektóre słowa języka naszego są „bezwartościowymi rekwizytami klasowymi" — dajmy na to słowo król. Nie mielibyśmy wówczas w Polsce nic innego, jeno gigantyczny śmietnik. Trudno odsyłać p. J. A. Króla do wielu prac polskich uczonych o Kochanowskim: zdaje się, że nie przemówią one do niego. Ale możeby przeczytał trzy obce: J. Langlade'a „Jean Kochanowski" (Paryż 1932), prof. Giovanni Mavera „Originalitá di Kochanowski" (Florencja — 1931) oraz wybór poezyj Kochanowskiego w przekładzie rosyjskim wraz ze studium o nim, wydany w r. 1930, tj. w czterechsetną rocznicę urodzin naszego wielkiego humanisty. Wreszcie można się zapoznać z niektórymi fraszkami Kochanowskiego, np. „Do Jana": — „Radzę Janie, daj pokój przedsięwzięciu swemu, bo — bądź krótko, bądź długo — przecie przyjdzie k'temu, że się człowiek obaczy. A co mu dziś miło, to mu będzie za czasem wstyd w oczy mnożyło..."

CZTERY INTERESUJĄCE wspomnienia drukuje „Twórczość" (zeszyt 10, październikowy). Są to: Anny de Noailles „Spotkania z Paderewskim" (w tłumaczeniu Witolda Truszkowskiego), Bernarda Szarlitta „Tragiczny los Kazimierza Tetmajera" oraz Juliusza Germana „Gabriela Zapolska" i „Tadeusz Pawlikowski". Szarlitt podaje wstrząsające szczegóły o chorobie umysłowej piewcy Podhala. Tetmajer umarł z początkiem r. 1940 w jednym ze szpitali warszawskich. Tylko dzięki przypadkowi udało się przyjaciołom poety wydostać jego zwłoki po sekcji, aby je godnie pogrzebać. Sekcja wykazała, że w mózgu poety był tumor wielkości kurzego jaja, czego nikt za życia jego nie przypuszczał. Dopiero więc po śmierci Tetmajera wyjaśniły się przyczyny jego manii prześladowczej, napadów szału, jakim podlegał, okropnej jego mizantropii i innych objawów chorobowych, które częstokroć traktowano lekce jako dziwactwa. A początki obłędu Tetmajera zaznaczyły się już w r. 1909. Lekarze nie poznali się na tumorze. Gdyby wówczas — pisze Szarlitt — dokonano trepanacji czaszki, poeta byłby uratowany. „Jakiż szlachetny umysł został zniszczony" — kończy Szarlitt swe smutne wspominki słowy szekspirowymi.

DWA NUMERY „Stolicy" — nowego warszawskiego tygodnika ilustrowanego — piękne są graficznie i fotograficznie, niezbyt jednak krzepiące na duchu, jeśli chodzi o te sprawy, jakim „Stolica" zamierza służyć, to znaczy odbudowie Warszawy. Imponujące, półstronicowe zdjęcia pokazują nam przeszłość — katedrę św. Jana, Zamek, rynek Starego Miasta — takimi, jakimi były przed wojną i przed powstaniem. Cała zaś strona trzecia sączy w nas jad zawiści: oglądamy na niej fragmenty z Pragi czeskiej, niezniszczonej przez wojnę i rozbudowującej się jeszcze, widzimy bloki mieszkaniowe w Kijowie, montaż domków betonowych w Anglii i nawet obrazek z biednego Wiednia, a pod obrazkiem taki podpis: „Uprzątanie gruzu z ulic Wiednia odbywa się nie tak jak u nas — łopatami, lecz przy pomocy mechanicznych kopaczek". Nie ulega wątpliwości, że mechaniczne kopaczki działają szybciej, niż łopaty.

DZIENNIK ŁÓDZKI — pierwsze pismo, założone w lutym roku zeszłego w Łodzi po wyzwoleniu jej, obchodził swego rodzaju jubileusz: mianowicie, dn. 13 listopada wydał swój pięćsetny numer. Jak to bywa w podobnych okolicznościach, numer — znacznie zwiększony — zawierał przegląd dotychczasowego dorobku pisma oraz szereg przygodnych artykułów. Na podkreślenie w nim zasługuje obfitość humoru — niewymuszonego, nieciągniętego za włosy: zjawisko coraz rzadsze w naszych czasach.

St. Łatka

Cecco d'Angolieri pisywał w Siennie satyry pełne humoru, cynizmu, szczerości i wesołego zuchwalstwa.

Gdy był jeszcze młodzieńcem sprzykrzył sobie dom rodzicielski, zwłaszcza, że ojciec był bardzo skąpy, natomiast on miał naturę zgoła odmienną.

Właśnie zdarzyło się, że jego przyjaciel, kardynał, został legatem papieskim w Ankonie. Cecco zaraz chciał się do niego wybrać, spodziewając się, że uzyska jakie niezależne stanowisko. Kłopot był tylko z tym, że nie miał za co wyjechać. Udało mu się jednak dobrze usposobić ojca i stary sknera wyliczył mu skromną pensję za sześć miesięcy z góry.

Przybiegł do niego towarzysz jego wesołych zabaw, Fortarrigo, i dalejże go prosić aby go wziął ze sobą, choćby za służącego. Fortarrigo był hulaka i kostera. Czego się jednak nie robi dla towarzystwa, Cecco wziął go ze sobą i tak wybrali się razem do kardynała.

Kiedy zajechali na pierwszy nocleg do oberży, Cecco położył się cnotliwie spać, lecz jego wesoły „służący" wymknął się do winiarni i ze zwykłą w tych razach szybkością przegrał pieniądze, a na dodatek ubranie, które szczęśliwy gracz ściągnął z niego. Zatem w samej koszuli powrócił do oberży i tu zobaczywszy że towarzysz jego śpi mocno, postanowił się odegrać, ubrał się w jego odzienie, zabrał wszystkie sześć pensji Cecca i powrócił do stołu przygodnych graczy.

Nie miał niestety szczęścia i po dłuższej już nieco zabawie, znowu pozostał w jednej tylko koszuli.

— Co jest, u diabła? Czy mam być dzisiaj stale nieubrany? — pomyślał gracz spiesząc do łóżka.

Na drugi dzień rano Cecco przekonawszy się ze zgrozą, jak się sprawa przedstawia, odziawszy się w odświętne szaty, które miał schowane w tobołku, wsiadł na konia i sam już spieszył do kardynała.

Fortarrigo, wyobraziwszy sobie, że nie będzie zbyt dobrze przyjęty przez gospodarza oberży, gdy zamiast zapłacić za nocleg, ukaże się mu w negliżu, biegł za koniem w swojej powiewnej szacie. Czując jednak, że nie jest wytrenowanym biegaczem, a spostrzegłszy jak wieśniacy pracujący w polu przyglądają się tej podróży, i jak żony ich i córki odwracają się z zawstydzeniem, wołał zdyszanym głosem:

— Chwytajcie złodzieja! Dobrzy ludzie chwytajcie złodzieja: Gdy spałem, zabrał mi konia i ubranie.

Chłopi ruszyli na Cecca, chcąc sprawiedliwości uczynić zadość i ściągnęli prawowiernego właściciela z jego konia, a nie zważając na jego oskarżenia i jęki, rozebrali go do bielizny, oddając Fortarridze ubranie i rumaka, oraz nie żałując przy sposobności klapsów dla nieszczęśliwego satyryka.

Fortarrigo pochwaliwszy wieśniaków, odjechał zadowolony, że ma znowu z czym zasiąść do gry. Natomiast Cecco musiał się ukrywać przez sześć miesięcy, domyślając się, że widok jego powracającego z podróży w jednej koszuli byłby zbyt przykry dla skąpego ojca. Dopiero po sześciu miesiącach Cecco powiedział sobie:

— Wszystkiego się można doczekać. Zatem nadszedł czas mojej pensji. Ojciec nie chciał już dać tym razem nowej gotówki i co gorsza, stracił wiarę w kardynała i w wysokie znajomości syna.

— Siedź w domu — powiedział mu, co synek, chcąc nie chcąc, musiał wykonać.

Wkrótce przekonał się ojciec, że z tego siedzenia wciąż nowe powstają zamachy na jego kiesę. Młody d'Angolieri bowiem okropnie nie lubił się nudzić, a jeżeli ktoś chce mieć zajmujące życie, musi za to płacić. Umyślił zatem stary dać synowi żonkę. Według jego przekonania, żona powinna być przede wszystkim bogata. Znalazła się taka, chętna na młodzieńca, brzydka i stara.

— Z tą donną ożenisz się — rzekł mu ojciec, nie znoszący oporu.

Cecco zwijał się jak na torturach, przed mariażem, lecz ojczulek poprowadził go do ołtarza. Pierwsze wrażenia z pożycia małżeńskiego nasunęły mężowi następujące satyryczne spostrzeżenia:

Quando mia donna esce la men'del letto...
Kiedy moja żona rano wstaje z łóżka
i póki się jeszcze nie natrze barwiczką,
to, takiej jak mojej miłej żonki liczko
ma z pomiędzy ropuch najbrzydsza ropuszka...
Póki całej twarzy nie zasypie pudrem,
nie wetrze ołowiu przez przeróżne szmatki,
nim się upodobni do jakiej gamratki ,
potąd czarownicą jest i starym pudłem.



Ilustrował M. Nesterowicz

Prędko też wyprowadził się z domu i zamieszkał u pobożnego szewca, który miał ładną córkę. D'Angolieri czytywał bogobojnemu łataczowi obuwia żarliwe sonety pisane na cześć madonny. Młodzi wyrównywali zbyt wygórowane cnoty swoich rodziców. Niestety, cnotliwe panny i młode mężatki po nieszporach lgnęły do wesołych gałganów.

Kiedy zaszła potrzeba, d'Angolieri — umiał użyć szpady. Brał udział w wyprawie przeciw miastu Arezzo. W tej wojnie wziął także udział mało wówczas jeszcze znany poeta, Dante Alighieri. Pisywali potem o sobie w wierszach, lecz Cecco, który był bardziej wtedy znanym poetą, pogniewał się na Danta, że ten mógł mu zwrócić uwagę, aby nie zachwycał się w rymach zbyt cieleśnie swoją ukochaną. Bo d'Angolieri zakochał się właśnie w pełnej uroku Becchinie. Kochał Becchinę tak zapamiętale, że spóźniał się przed nocą do domu i wracając po dzwonieniu przez ulicę, musiał kilka razy płacić grzywnę. Satyryk i cynik wpadł w miłość po same uszy.

— Oddałem mojej pani całe serce, a gdyby mi kto powiedział, zrobię cię imperatorem ale rzuć ją, — odpowiedziałbym mu: odejdź, ja wolę Becchinę.

Podobnie rzekł znacznie później mizantrop molierowski. Cecco wierny był i stały w uczuciach. Minęło kilka lat.

Pewnego wieczoru Becchina, zaplótłszy ręce nad głową, tak się odezwała:

— Czy wiesz, że jedna z dziewcząt siennenskich wychodzi za mąż?

— Spodziewam się, że niejedna.

— No tak, lecz ta cię więcej obchodzi.

— Żadne dziewczęta mnie teraz nie obchodzą.



Chwytajcie złodzieja dobrzy ludzie...

— A jednak tę zapewniałeś o miłości.

— Kocham tylko ciebie Becchino.

— A to właśnie ja wychodzę za mąż.

Cecco pobladł i naraz zawirowały mu w głowie wszystkie humorystyczne zwrotki.

Po chwili zapytał nieśmiało:

Czy tamten więcej cię kocha ode mnie?

— Ach, to nie, ale ma więcej pieniędzy.

Cecco pokiwał głową z uznaniem. Potem dodał ironicznie:



Zapomnij, jeśli potrafisz...

— Pieniądz zawsze bał się mnie gorzej niż diabła.

— Tak, gorzej niż diabła — potwierdziła Becchina.

A widząc, że d'Angolieri niczego więcej nie wymyślił, powiedziała obojętnie:

— Dzisiaj mój Cecco, widzimy się ostatni raz. Mój przyszły mąż, handlarz oliwy, stanowczo zastrzegł sobie, abym się z tobą nigdy nie widywała.

— Ostatnie spotkanie to jak ostatni sonet w cenzonierach — zauważył humorysta, uśmiechając się mdławo. — Pozwól, że dzisiaj zapomnę o tym.

— Zapomnij, jeśli potrafisz — odpowiedziała śmiejąc się Becchina, która znać była także humorystką.

Dawno już strażnik na wieży Dangi wybił młotem nocną godzinę, gdy stróże nocni przyłapali zapóźnionego przechodnia.

— Panie d'Angolieri, nie słuchasz przepisów miejskich. Zapłacisz jutro u podesty 25 soldów grzywny.

Drugi pachołek rzekł rubasznie:

— Odtąd może już nie będziesz się spóźniał jeśli tyle grosza wyłożysz z kieski, — i dodał pocieszająco: — Może na przyszłość uchronisz się od kary.

— Niestety, na przyszłość uchronię się od tej kary — odpowiedział z westchnieniem Cecco.

Ludwik Świeżawski

MODA W LONDYNIE

Młoda angielka, której zdjęcie podajemy, zdobyła w ub. miesiącu pierwszą nagrodę na pokazie mód w londyńskim Albert Hallu za najbardziej elegancki strój.



(British Photo)

KĄCIK FILATELISTYCZNY



We Francji ukazała się bardzo ładna seria z podobiznami wielkich ludzi XV wieku: 2 + 1 fr. czarnozielony z Franciszkiem Villonem (1431 — 1489), legendarnym już lirykiem, z życia którego zaczerpnięte są motywy operetki „Król włóczęgów", 3 + 1 fr. czarny z Janem Fouquetem (1415 — 1480), znanym malarzem tego stulecia, 4 + 3 fr. bordo z Filipem Commynes'em (1447 — 1511), 5 + 4 fr. ultramarynowy z Joanną d'Arc (1412 — 1431) — Dziewicą Orleańską, 6 + 5 fr. brunatny z Janem Gersonem (1362—1428), teologiem scholastycznym, 10 + 6 fr. ceglasty z Karolem VII (1403 — 1461), królem ukoronowanym przez Joannę d'Arc.

Włochy wydały serię poświęconą ich dawnym republikom: 3 l zielony (Republica di Siena: XII—XVI w.), 4 l czerwonopomarańczowy (Republica di Firenze: XII — XVI w.), 5 l fioletowy (Republica di Pisa: XI — XV w.), 10 l różowy (Republica di Genova: XI — XIX w.), 15 l ultramarynowy (Republica di Venezia: VIII — XVIII w.), 20 l czerwono brunatny (Il Givremento di Pontida: 7.4.1167).

w. o.



KUPON 12

Zagadka Nr 12 — 3 punkty

....
nazwisko i imię

....

....
adres

....
rozwiązanie

SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

Prosimy czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy“ z zaznaczeniem skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności. Za najlepszą rzecz tygodnia

PRZEZNACZAMY 150 ZŁ NAGRODY

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł. otrzymał p. Z. Jarkiewicz (Jelenia Góra, ul. Skargi 6) za nadesłanie poniższych wycinków z „Kocyndra“ (Nr. 50):

TULIPANY

Skandal w parku jest od rana,
Bo tulipan tuli pana.
Jasne — szepczą na to chwasty —
Przecież to są pederasty.

NOC POŚLUBNA

Zapytano młodej żony po ślubie,
Czy i gry małżeńskie polubi.
I padło z ust byłej dzieweczki,
Że gra ta nie warta jest świeczki.

STONOGA

Zapytała raz żaba stonogi,
Z której zaczyna iść nogi.
I tak się pomyliło niebodze,
Że do dziś dnia stoi na drodze.
Nerwy ma rozstrojone,
Nie może iść nawet... na stronę.

W KNIEI

Ażeby wspólnie ciągnąć życia tego taczki,
Świętojańskie pobrały się robaczki.
Zgaś światło, kochany — oto były słowa,
Które w noc poślubną rzekła robaczkowa.

Z podpisu pod wierszami wynika, że autorką ich jest Magdalena Samozwaniec. Kobita już piąty krzyżyk dźwiga, a w głowie tylko figle. Z tegoż numeru „Kocyndra“ dowiadujemy się, jakie jest przeznaczenie tego pisma:

Kocynder — twierdzą niektórzy — ma twardszy i gorszy papier od „Szpilek“. Ale dlatego też „Kocynder“ służy tylko jednemu celowi, to jest do czytania, podczas gdy... (improwizacja czytelnika).

Otóż nie jest prawda, jakoby do tamtego celu służył tylko miękki papier. Za czasów Puszkina żył bardzo kiepski poeta nazwiskiem Chwostow, który ratował lichotę swych wierszy, drukując je na sztywnym, albumowym papierze. I Puszkin napisał o nim epigramat, zakończony tymi słowy: „Biegnę w zaciszny kącik, i tam Chwostowa szorstką odą, chociaż się męczę, ale trę“:

W ukromnyj ugołok biegu
I tam Chwostowa żostkoj odoj,
Chotia i żałujusj, no tru...

Być może i dzisiaj są ludzie pełni poświęcenia się, którzy w podobny sposób niszczą „Kocyndra“.

WAŻNA WIADOMOŚĆ

„Zjednoczenie kawy i namiastek“ prowadzi we własnym zakresie plantację kawy i cykorii. Obszar tych plantacyj w r. 1945 wynosił 195 ha, zaś w roku bieżącym już 2.000 ha. Na rok 1947 przewidziane jest 6100 ha („Dziennik Ludowy“ Nr. 270).

Jeśli co roku plantacje kawy w Polsce zwiększać się będą w tej progresji, czynniki gospodarcze przewidują, że za lat 10 będziemy eksportowali kawę do Brazylii.

WARUNKI KONKURSU

W numerze 17 ogłosiliśmy II konkurs na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach.

Dziś podajemy czwarte zadanie

Jako nagrody Redakcja przeznacza:

1 nagrodę — 2000 zł.
2 nagrody po 1000 zł.
4 nagrody po 500 zł.
10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia“.

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 20 stycznia 1947 roku do redakcji „Tygodnia“, Łódź, ulica Pomorska 37/1.



Anegdoty historyczne

HUMOR ZYGMUNTA STAREGO

Zygmunt I (1506—1548) miał obyczaj obiadować z tymi dworzanami, którzy dnia tego przy jego osobie byli. Idąc do stołu, umywał ręce, i zdjąwszy z palców pierścienie, wielce kosztowne a nieraz zgoła bezcenne, dawał je trzymać tymczasem któremukolwiek dworzaninowi. Zdarzyło się raz, że — chcąc może wypróbować uczciwość jednego z nich — nie zwrócił się, wytarłszy ręce, po pierścienie do niego. A tamten nie przypomniał. I tak król bez pierścieni do stołu zasiadł.

W rok może potem tenże dworzanin nawinął się królowi, gdy umywał ręce, i sięgnął po pierścienie. Król ręki umknął, mówiąc:

— Wróćcie mi one pierwej, com wam dał je rok trzymać.

Tenże król Zygmunt, grając flusa *), kiedy mu przyszły trzy króle, pokazał karty, powiadając, że ma cztery.

— A czwarty gdzie? — spytali gracze.

— A tom ja — powiada — czwarty. I wziął grę.

(według Jana Kochanowskiego).

*) Flus przypomina do pewnego stopnia dzisiejszego pokera.

WIELORYB NA MIELIŹNIE



Podczas przypływu w pobliżu Nowego Yorku w porcie Huntington osiadł na mieliźnie wieloryb, wywołując tym sensację wśród mieszkańców portu, którzy tłumnie przybyli na wybrzeże, aby zobaczyć niecodzienny wypadek S. A. P.

Osobliwością powojennego przemysłu automobilowego Anglii jest specjalnie zbudowany dla kalek i inwalidów samochód, który ma niespełna metr szerokości, rozwija szybkość do 50 km. na godz. i może być obsługiwany bez pomocy rąk.

Zrozumiałą sensację zbudził ten wóz u zawodowych żebraków. Niezwykła szybkość tej maszyny, jej wymiary pozwalające wcisnąć się przez każdą furtkę, możność szerokiego stosowania syreny, oraz perspektywa otrzymania datków „w pełnym gazie“ skłoniły wielu zamożnych biedaków do zakupu tego najmniejszego z samochodów. Nabywcy spodziewają się pokryć koszty paliwa i amortyzacji z wpływów bieżących. Niewiadomo tylko jak ustosunkują się wobec tej nowej formy żebrania dobroczyńcy.



Jak widzimy na zdjęciu miniaturowym samochodem nie jeżdżą tylko żebracy...

DRUGI KONKURS „TYGODNIA“
NA REBUSY I KRZYŻÓWKI

Rebus nadesłał dr. St. Kaszubski z Otwocka.





Zagadka dwunasta

WIELKI KONKURS FOTOGRAFICZNY

Zgodnie z zapowiedzią w Nr 8 „Tygodnia“ — zamieszczać będziemy co tydzień jedną zagadkę fotograficzną. Rozwiązanie polegać będzie na odgadnięciu treści ilustracji oraz wypełnieniu odpowiedniego kuponu. Kupony wszystkie razem przesłać należy najpóźniej do dnia 17 grudnia 1946 r. do redakcji „Tygodnia“. Za prawidłowe rozwiązanie każdej z zagadek rozwiązujący otrzymuje pewną ilość punktów. Zwycięży w konkursie posiadacz największej ilości punktów. W wypadku jednakowej ilości punktów o podziale zadecyduje losowanie. Oto wykaz nagród:

1 nagroda — 3000 zł.
2 nagrody po 1000 zł.
5 nagród po 500 zł.
10 nagród po 250 zł.
32 nagrody — prenumerata kwartalna „Tygodnia“.

Wyniki konkursu podamy w numerze 25 z datą 29.12. 1946 r. Polecamy zatem uwadze czytelników dwunastą z zagadek, umieszczoną w dzisiejszym numerze.

(za rozwiązanie 3 punkty).

ZAGADKA Nr 12

Oto epizod ostatniej wojny. Walka toczy się o dobrze w Polsce znany port, gdzie wielu Polaków zginęło i którego losy przez dłuższy czas pozostają niepewne. Należy odgadnąć, jak nazywa się miasto, o które walczone na lądzie, morzu i w powietrzu.

POKOJOWE KONFERENCJE



Aniołek: czy mówią coś o mnie?
Lokaj: Jeszcze nie, są bardzo zajęci — narazie podaję zakąski.
rys. Kazimierz Grus

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień“ ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje 13—14 ● Redakcja rękopisów nie zwraca.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37, m. 1, tel. 14-906 ● Prenumerata miesięczna 30.— zł ● Konto P.K.O. Łódź VII Nr 4321
Ogłoszenia: cena za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 50.— zł ● Druk: Zakłady Graficzne „Społem“ Łódź, ul. Andrzeja Struga 63 ● D. 011139